Nr. 11. Lwów, Niedziela dnia 12. Marca 1876 r. **Rok III.**



TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

X.

Wydawnictwo dziełek ludowych.

IV. Co do rozszerzania dzieł ludowych, sądzimy, że nie podobna dla całego kraju jednej tylko normy zalecić jako najlepszej, ale należy koniecznie w uwzględnieniu miejscowych stosunków wszędzie wybrać te sposoby działania, jakie się gdzie najskuteczniejszemi okażą.

Najlepszą niewątpliwie byłaby taka organizacja całej tej sprawy, ażeby każdy powiat miał swoje własne stowarzyszenie oświaty ludowej, które pozostawiając troskę o wydawnictwa lwowskiemu komitetowi, tudzież prywatnym przedsiębiorstwom, zajęłoby się wyłącznie tylko rozszerzaniem dzieł ludowych. Zdanie to opieramy na doświadczeniu, uczynionem z zamarłem już od kilku lat Towarzystwem przyjaciół oświaty ludowej we Lwowie. Miało ono cel podwójny: wydawnictwa, i rozszerzania dzieł. Chcąc oba te cele osiągnąć, starało się w całym kraju jak najwięcej pozyskać członków, w każdym powiecie mieć swoją filję, sprawę wydawnictwa skoncentrować w zarządzie głównym we Lwowie, rozszerzanie zaś poruczyć oddziałom, dla których zarząd główny byłby komisantem, pośredniczącym między nimi a księgarzami. Przy tej dwoistości celu wyrodzić się musiało pewne ścieranie się interesów. Gdy zarząd centralny pragnął zadość uczynić swemu zadaniu co do wydawnictw, musiał koniecznie dążyć do tego, ażeby jak najwięcej funduszów z oddziałów pobierać, oddziały znów dążąc przedewszystkiem do rozszerzania dzieł ludowych, w interesie tego rozszerzania musiały iść w kierunku przeciwnym. Ztąd też zaraz z początku wołania i spory o autonomję oddziałów, ztąd zniechęcenie w wielu oddziałach, które nie były rade temu, że musiały znaczną część swych funduszów przesyłać do Lwowa. Z czasem przekonywano się coraz bardziej, że jedno towarzystwo obu zadaniom mogłoby podołać tylko przy bardzo znacznych funduszach, i z czasem tak w centralnym zarządzie jak i w oddziałowych czynność coraz stawała się słabszą, aż w końcu ustała zupełnie. Teraz przeto, gdy komitet sam własnemi funduszami podejmuje się wydawnictwa, byłoby najwłaściwszem, żeby w powiatach tworzyły się osobne towarzystwa mające na celu wyłącznie tylko rozszerzanie książek ludowych. Z niewielkiemi nawet ofiarami pieniężnemi, można by w tym kierunku bardzo wiele zrobić. Kilkaset zł. do roku w każdym powiecie na ten cel użyte, mogłyby sprawie oświaty ludu znakomite oddać usługi.

Ale — oprócz pieniędzy koniecznym jest tu inny jeszcze warunek. Musiałaby się w każdym powiecie znaleźć dostateczna liczba tak gorliwych tej sprawy zwolenników, żeby już nie według upodobania, ale z przyjętego stale obowiązku chcieli działać, żeby prócz datku pieniężnego osobiście rozszerzaniem dzieł się zajmowali, żeby na zgromadzenia towarzystwa przyjeżdżali, ochoczo i punktualnie pełnili obowiązki członków wydziału, chcieli wykonywać takie pozornie drobne a jednak w każdem towarzystwie niezbędne czynności, jak prowadzenie ksiąg, utrzymywanie kasy, korespondencję itp. Gdzie się znajdzie dostateczna liczba takich ludzi — tam, ale też tylko tam zawiązywać towarzystwa, o jakich mówimy. Ale zawiązywać je w powiatach nie mających tego koniecznego warunku, znaczyłoby całą sprawę kompromitować, i bezczynnością obranych komitetów zrazić ogół stowarzyszonych choćby dla sprawy najchętniejszych. W tych zatem powiatach poprzestać trzeba na działalności prywatnej najgorliwszych, którzy bez statutu, bez formalnie zorganizowanego stowarzyszenia, bez komitetów i prezesów mogą jeszcze wiele zrobić dobrego.

A sposoby są potemu tak liczne, że nie starczyłoby nam miejsca, gdybyśmy je wszystkie wymieniać tu chcieli. Przedewszystkiem nasuwa się tu na myśl szkoła, jako główne ognisko z którego książki dla ludu rozchodzić się powinne. Każda szkoła powinna mieć swoją bibljotekę. Fundusze powstające z kar za nieposyłanie dzieci do szkoły, bywają używane na tworzenie tych bibljoteczek. Gdzie nauczyciel gorliwy, tam pewno książki w bibljoteczce marnie leżeć nie będą, tam i odwołanie się do właściciela dóbr, ażeby jakim datkiem bibljoteczkę zasilił, nie będzie bezowocnem. W radach szkolnych okręgowych, choćbyśmy sobie nawet najgorzej ich skład przedstawili, znajdą się zawsze jeszcze tacy, którzy tę sprawę poprą, i czuwać będą nad zaprowadzeniem i zasilaniem tych bibljoteczek. Znajdą się tacy i w wydziałach powiatowych, a zajmując ważne w powiecie stanowisko wydziałowych, nie będą bez wpływu i mogą go pewno na rzecz rozszerzania książek ludowych wyzyskać.

Z każdej szkoły wychodzi co roku pewna liczba dzieci, umiejących już czytać. Byłoby rzeczą rad szkolnych i ich członków i delegatów, dalej członków wydziałów powiatowych, nauczycieli, właścicieli dóbr, i t. d. starać się o to, ażeby k a ż d e dziecko kończące szkołę, bez względu na postęp w nauce zrobiony, dostawało na pamiątkę książkę. Choćby nawet część pewna tak rozdanych książek została zmarnowaną, a tylko część z korzyścią użyta, to i ta część drobna nawet, odda znaczną usługę. Pamiętajmy, że zawsze gdy się ziarno sieje, część jego marnie iść musi, i nie zrażajmy się tem, że z początku musi to być część znaczna. Powoli będzie się ona zmniejszać, i przyjdzie czas kiedy zmaleje tak, że o niej nawet zapomniemy zupełnie.

Bardzo wiele zrobić tu mogą kobiety. Widzieliśmy nieraz naocznie, jak ogromny wpływ mieć może „pani — albo panienka z dworu“ — gdy tylko zbliżyć się zechce do ludu, do dziewcząt i kobiet wiejskich, zajrzeć czasem do szkółki, być na popisie, rozdawać premje. Prawda, że na to trzeba myśli sięgającej po za sferę towarzyskich błyskotek, serca, które by prócz własnej piękności, prócz stroju i klejnotów coś więcej ukochać umiało. Ależ serc takich i umysłów nie powinno zbraknąć pomiędzy Polkami.

Komitet nie żąda od ogółu wsparć pieniężnych. Kupujcie tylko książki, przysyłajcie pieniądze a odeszlemy wam równą wartość w książkach — tak się odzywa do kraju. Niech więc każdy, kto w jakikolwiek sposób do rozszerzania książek ludowych przyczynić się może, odpowie temu wezwaniu komitetu, a całe to tak szlache-

tne przedsięwzięcie komitetu oprze się tem samem na niewzruszonych podstawach. Bo niech mówią co chcą — niepodobna ażeby nie było w całym kraju 3000 takich włościan, szczególniej z młodszego pokolenia, którymby nie można z pożytkiem dać książkę do ręki, jeżeli tylko znajdzie się dostateczna liczba takich, którzy się tem zająć zechcą. A rozsprzedanie każdej wydanej książki ludowej choćby tylko w 3000 egzemplarzach, zapewni niezachwianą egzystencję wydawnictwu, szczególniej że członkowie komitetu nie mają na myśli ani to, żeby z włożonych pieniędzy mieć jakikolwiek zysk, ani też żeby je z wydawnictw wycofać, cała więc z rozprzedaży pochodząca kwota będzie napowrót w nowe wydawnictwa wkładaną. Gdyby zatem tylko trochę zajęcia się ogółu tą sprawą, a szczególniej trochę gorliwości ze strony tych, którzy już ze stanowiska swego mają styczność ze szkołą — cel przez komitet założony osiągniętym być musi.

Nie dotknęliśmy wcale sprawy kolporterji, chociaż jest to jeden z najlepszych sposobów rozszerzania ludowych książek. Wiemy bowiem, że się nią komitet już zajął, zrozumiawszy dobrze, iż jej nie może pozostawić prywatnej inicjatywie ludzi rozrzuconych po kraju, lecz sam tutaj w ręce ująć ją musi.

Kończymy na teraz uwagi nasze w sprawie wydawnictw serdecznem „Szczęść Boże!“ dla komitetu, a gorącem wezwaniem wszystkich ludzi dobrej woli, aby usiłowania jego według możności energicznie poparli.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach
przez
J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.
(*Ciąg dalszy*).

CZĘŚĆ DRUGA.
Partyzanci.

XI.

A była to również prawdziwie szaraczkowa gracja. Biedna ciocia Giefia poczuła, że nie mogłaby największem nawet wysileniem, na jakie zdolną była się zdobyć, rączki swojej od niej uwolnić.

— Skoro pani nie chcesz i nie pozwalasz — mówił dalej p. Bartłomiej, stawiając świecę na stole, to naturalnie, że tam nie wejdę. Ale czy siak czy tak, panie bratku, zrobimy swoje.

To mówiąc i trzymając szambelanowę ciągle za rękę, zbliżył się znowu do okna. Drugą ręką otworzył je tak szybko jak poprzednie i tym samym tubalnym głosem krzyknął:

— Hej! wiara!

Ciocia Giefia zdrętwiała.

— Na miłość boską! panie, co pan chcesz robić? — zawołała błagalnie.

— Nic, proszę pani... kiedy do jamy wejść nie można, to trzeba z niej lisa wykurzyć. Każę tam strzelić kilka razy do okna...

W tej chwili drzwi od buduaru cioci Giefi otworzyły się i na progu ukazał się pan Artur.

Może to sprawił tylko nie dość silny blask świecy, ale się wydawał bladym jak chusta.

— Tam do pioruna! — zawołał drwiąco Zahajpolski, — to jaśnie wielmożny pan Szóstacki!... no i proszę!... noga męska tam nigdy nie postała, jakżeś pan tam u djabła chodził?... czy na rękach?...

Widząc się w najgorszem, bo śmiesznem położeniu, pan Artur nie zmięszał się jednak tak bardzo, żeby już nie pojmował, że tylko angielska zimna krew uratować go może.

— Panie Zahajpolski — rzekł, kłaniając się grzecznie panu Bartłomiejowi — pozwól pan, że poprzestanę w tej chwili na przywitaniu się z panem, a z obecności mojej w tym pokoju przed panią szambelanową się wytłumaczę.

I zwróciwszy się do cioci Giefi jął jej tłumaczyć, że gdy usłyszał że oddział wojska narodowego nadszedł, chciał za nią wybiedz naprzeciw niemu, ale nie dobrze pamiętając rozkład pokojów we dworze, zam iastna lewo zwrócił się w prawo; idąc coraz dalej zaszedł aż do jej pokoju, i tam dopiero, przy słabem świetle palącej się lampki, spostrzegł że drugich drzwi nie ma i że się pomylił widocznie, ma jednak nadzieję że pani szambelanowa nie będzie miała do niego za tę mimowolną niedyskrecję urazy.

Zahajpolski nie poważył się ani na chwilę podać w wątpliwość prawdopodobieństwa ani autentyczności tego objaśnienia. Przyjął je jak najlepiej i wrócił z ciocią Giefią i panem Arturem do pokoju, w którym była zastawiona herbata, prosząc tylko aby paai szambelanowa była łaskawa kazać dla niego podać wódki i kiełbasy, ziółka zaś zachować na przypadek, gdyby mu się zdarzyło pod jej opieką wylizywać się z jakiej rany. Ta dobroduszność nie przeszkodziła mu jednak żartować, napozór bardzo niewinnie, a w gruncie nadzwyczaj złośliwie, z owej pomyłki, która byłego kamerjunkra aż do sypialni niewieściej zaprowadziła.

— Gdyby tak nie ja — mówił — gdybym nie znał pana marszałkowicza, gdybym nie pamiętał, co to on prawił na zjeździe w Łaszczyńcach, że nadchodzi czas czynu, godzina odwetu, toby na podstawie tej niewinnej pomyłki można było pana marszałkowicza posądzić, że się ukrył przed nami, że się lęka żebyśmy go przypadkiem z sobą do lasu nie zabrali.

Pan Artur bardzo żywo zaprotestował przeciw takiemu podejrzaniu, pomimo że pan Bartłomiej bardzo stanowczo zapewniał że on takiego podejrzenia nie ma, i że mógłby je mieć tylko ktoś taki, kto nie zna pana Artura.

Przy tych obustronnych protestacjach znalazła się bardzo naturalna sposobność wyłożenia przed panem Bartłomiejem przyczyn, które pana Artura jedynie powstrzymały od uczynienia zadość popędowi swojego serca i pochwycenia za broń przeciwko odwiecznym wrogom ojczyzny.

Historja o fideikomisie, która także wrażenie zrobiła na cioci Giefi, opowiedzianą została po raz już drugi tego dnia i nie mniejszy jak poprzednio na szambelanowej robiła efekt, a musiała także żywo oddziałać na pana Bartłomieja, bo słuchając jej napił się wódki powtórnie i znowu się zabrał do zakąszenia kiełbasą.

Gdy pan Artur opowiadanie skończył, p. Bartłomiej dał pokój kiełbasie i zamyślił się przez chwilę.

— Hm! hm! — rzekł po krótkiem milczeniu — gdyby tak pomędrować i pokręcić głową, toby się może znalazł sposób...

— Na co, panie?

— Ot na to, żeby pan marszałkowicz, siak czy tak panie bratku, uczynił zadość swemu pragnieniu i poszedł z nami na Moskala, ażeby na tem fideikomis nic nie ucierpiał.

Pan Artur skrzywił się trochę. Nie można było na razie wymiarkować co mogło znaczyć to skrzywienie.

— Jakiż naprzykład? — rzekł nieco niepewnym głosem.

— Bardzo prosty... pan marszałek mógłby również pozornie, w drodze fideikomisu, odprzedać Zaskale.

— Komu?

— Jakiej statecznej, uczciwej a niezależnej niewieście... ot dajmy na to pani szambelanowej dobrodziejce!

Dopiero teraz zdemaskował się Zahajpolski, dopiero teraz marszałkowicz się spostrzegł, że się złapał w matnie swej własnej dyplomacji i że szaraczkowy zawadjaka nie na żart miał nadzieję dostania go pod swą komendę.

Starając się nie dać poznać po sobie, jak dalece ta propozycja nie w smak mu poszła. usiłował w żart ją obrócić i wybić panu Bartłomiejowi z głowy. Nie było jednak oczywiście w księgach przeznaczeń zapisanem, żeby tego dnia jego arystokratyczna wymowa do zaściankowej mózgownicy trafić zdołała. Na każdy jego argument pan Bartłomiej miał charakterystyczne jakieś odparcie, zwięzłe a tak dosadne, że młody pan Szóstacki języka w gębie zapominał, a nareszcie poddać się musiał, gdy pan Zahajpolski zakonkludował:

— Czy tak czy siak, panie bratku, każdy ma jakieś obowiązki, każdy ma czegoś w domu pilnować: pan fideikomisu, inny chorej ciotki, inny małych dzieci, inny sfory, albo stadniny, boć piękna stadnina, to także bogactwo narodowe, którego byłaby szkoda, gdyby je ten skórka na buty Moskal miał zagrabić. Więc gdyby każdy tylko o tem myślał, to wszyscy zostaliby w domu a Moskal gospodarowałby sobie dalej, jakby sam chciał. Otóż dlatego właśnie takiemi skrupułami krępować się nie można, dlatego trzeba, żebyśmy wszyscy poszli, którzy broń udźwignąć możemy, a jak pójdziemy wszyscy, jak nie będzie ani jednego coby się ociągał, to wtedy dopiero możemy być pewni, że nam nic nie skonfiskują, bo czy siak czy tak panie bratku, my ich wówczas wykonfiskujemy het za dziewiątą wodę i za dziesiąty las, tak mi panie Boże dopomóż! Więc kiedy pan marszałkowicz czujesz w sobie taki animusz, to zabieram pana z sobą i basta!

Fideikomisu nie można było już dalej używać za tarczę ochronną, widział to pan Artur wyraźnie. Chwycił się więc ostatniego środka ratunku — wyznał przed panem Bartłomiejem że jakkolwiek czuje wielką do

szabli wokację. przecież wychowanie uczyniło go zdolniejszym do służenia krajowi piórem i językiem w zawodzie dyplomatycznym i dlatego właśnie udawał się do Warszawy, aby misję zagraniczną od Rządu narodowego otrzymać.

Potrzeba było tylko słyszeć jak się na te słowa panu Bartłomiejowi rozwiązał język.

— Dyplomacja, rozumiem — zawołał— tylko że mnie tatuś uczyli, że dyplomacja dobra na zakąskę, jeżeli jest poczem zakąsić. Chcesz pan dyplomatyzować — zgoda, ale naprzód trzeba Moskalowi dać w łeb, a potem dopiero można się z nim układać. Zaczynać od dyplomacji djabła warto, dopóki panie wroga nie przydusisz, to cię w targach dyplomatycznych oćmi i złupi. Pierwsza rzecz zatem bić się, i jeżeli pan chcesz dyplomatyzować, to najprzód pomagaj się bić, żeby ci się spieszniej otworzyło pole do targów... Siak czy tak tedy, panie bratku, zabieram pana.

Być może, że p. Bartłomiej nie miał jeszcze na serjo myśli przymusowego zwerbowania byłego kamerjunkra do powstańczych szeregów, że się tylko bawił jego kłopotem, ale pan Artur brał te nalegania na serjo, a jeszcze bardziej na serjo przyjmowała je ciocia Giefia, która stanowczość okazaną przez Zahajpolskiego w czasie odbywanych poszukiwań brała za znak niemylny, że z nim nie ma co żartować i że co przyrzekł zrobić gotów.

Ona zatem podjęła się instancji. Przekonywała pana Bartłomieja, że pan Artur do powstania iść nie może, że życie jego zbyt jest drogiem dla ojczyzny, ażeby mogło w pierwszej lepszej potyczce być na szwank narażonem, że pan Artur jest miękki, delikatny, wypieszczony itd. itd.

Od większej części tych instancyj aż sam protegowany wypraszać się musiał, przeklinając w duchu niezręczność protektorki, która panu Bartłomiejowi, jakby na złość, podawała okazje do coraz nowych sarkazmów.

Nareszcie ciocia, widząc że nic nie wskóra perswazjami, wstała z kanapy i zawołała stanowczo:

— Panie Bartłomieju! jestem kobietą i lubię, żeby się działo zadość mej woli. Powiadam panu wprost, że nie będziesz się czepiał pana Artura i zostawisz go w spokoju, żeby służył krajowi jak mu się podoba, nie weźmiesz go w narodowe rekruty!

— To zobaczymy, panie dobrodziejko — odpowiedział pan Bartłomiej z uśmiechem.

— Zobaczymy — odparła ciocia Giefia i majestatycznym krokiem wyszła z pokoju.

Zahajpolski i pan Artur zostali sami.

Pan Artur czuł, że dowódca powstańczy ma na niego wzrok wlepiony, nie śmiał jednak oczu podnieść i nie wiedział od czego zacząć rozmowę.

Położenie jego było nader żenujące i przykre.

Ale jeszcze bardziej żenującem i przykrem stało się gdy Zahajpolski po chwilowem milczeniu zbliżył się do niego i uderzając z lekka parę razy rzekł:

— Czy tak czy siak, panie bratku, musisz to sobie kazać obandażować...

— Co takiego?

— To ramię.

— Po co?...

— Żeby ci dusza z niego nie uciekła.

Oczy pana Artura krwią nabiegły.

— Panie Zahajpolski! — zawołał.

Stary poklepał go powtórnie po ramieniu, nic sobie z jego gniewu nie robiąc.

— No, tak — rzekł — rozdąsaj się choć trochę, kawalerze, zaświadcz choć tym sposobem, że nie byłbyś taką papinkowatą niuńką, gdyby cię wprzód kochać ojczyznę i nienawidzieć jej wrogów niż parlefransować i tańczyć kontradansa uczono. Gniewaj się, paniczu! Wtedy przynajmniej gdy się gniewasz nie wydajesz się salonową lalką, jaką cię twoje bony i niańki zrobiły.

— Panie Zahajpolski! — unosił się pan Artur, którego zimna krew angielska najzupełniej już opuściła — powtarzam panu... dość tego...

— Dość tego! — powtórzył Zahajpolski — masz rację... czy siak czy tak, dość tego... straszyłem cię tylko, nie wezmę cię do obozu, zostań z babami, tchórzów u nas w oddziale nie potrzeba, tylko żołnierzy i to nie takich co przed pierwszą potyczką skryją się w rów albo w krzaki...

Chciał coś odpowiedzieć pan Artur, lecz już nie miał czasu.

Z sąsiedniego pokoju dał się słyszeć jakiś szczęk, jakby broni, po chwili otworzyły się drzwi i na progu ukazała się jakaś postać rycerska, trochę po teatralnemu w blachę imitującą stal zakuta.

Trzeba się było dobrze wpatrzeć w to niespodziewane i nadzwyczajne zjawisko, ażeby w niem poznać — ciocię Giefię.

Miała ona na głowie hełm, na piersiach pancerz, w ręku trzymała długi płaski miecz, którego pochwa przy lewym jej boku wisiała.

Tarczy tylko obowiązkowej brakowało do zupełnego kostjumu Joanny d' Arc, przedstawionej na scenie jakiego małego miasteczka.

Hełm i pancerz były improwizowane naprędce z najrozmaitszego żelastwa, miecz stanowił najstarszy antyk familijny, przechowany w zbrojowni rotmistrza, który przy zabieraniu mieszkańcom broni po ogłoszeniu stanu oblężenia, nie został zabrany z Zaskala, ponieważ czynownik, nie uznał tego ciężkiego i niezgrabnego narzędzia za żaden oręż całości i bespieczeństwu moskiewskiego caratu grozić mogący.

Taki rysztunek wyszykowała sobie ciocia Giefia przy pomocy Chapki, Paraszki, Olenki, miejscowego kowala, podstarościego Lemieszyńskiego i starego Jana gracjalisty, i ten jej występ kostjumowy miał być w jej przekonaniu owym heroicznym środkiem, mającym stanowczo ocalić pana Artura.

— Panie Zahajpolski! — rzekła uroczyście — chciałeś z tego domu podatku krwi... przynoszę ci go... staję w szeregach narodowych i walczyć będę jak mężczyzna, ale w zamian za to żądam uwolnienia tego młodzieńca...

Mówiąc te słowa ciocia Giefia mieczem swoim wskazała marszałkowicza, który przed tą bronią niepalną instynktownie o krok się cofnął.

Że ciocia Giefia w tym stroju, z tą powagą i z temi słowami na ustach, wyglądała nad wyraz komicznie, i że pan Bartłomiej aż za boki się chwycił, zbytecznem byłoby dodawać.

Ale prędko gniew go opuścił. Namarszczył brew, splunął energicznie, i rzekł:

— Biada nam! doczekaliśmy się synów drągali, którym na myśl o powąchaniu prochu dusza w pięty ucieka, i których odwagą pierwsza lepsza białogłowa, fartuch, spódnica, podwiązka, zawstydzić musi!... Idź się asan rozbierz z tej maszkarady, — dodał zwracając się do szambelanowej — a potem siadaj w ciepłej izbie z czeladzią godzinki śpiewać i kądziel prząść, a asana, panie Szóstacki, proszę ze mną...

— Co pan chcesz zrobić?—szepnął wylękniony do ostatka pan Artur.

— Chcę pokazać mojemu oddziałowi lalkę, którą jedna baba w rycerskiem rzemiośle chciała wyręczyć, jako do dźwigania karabina za delikatną, a potem dać tej lalce konwoj i odtransportować ją aż do miedzy granicznej... Proszę ze mną!

— Panie Zahajpolski, słówko tylko — rzekł były kamerjunkier.

— Byle niedługo, słucham.

— Źleś mnie pan posądził... nie jestem tchórzem... miałem wprawdzie powody, które mnie wstrzymywały od pójścia już teraz do obozu, ale w obec pańskich podejrzeń, powody te nie mają żadnego znaczenia. Proszę pana o broń i o miejsce w pańskim oddziale... czynem dowiodę, że pozory, na zasadzie których mnie pan potępiłeś, były fałszywe...

— A co?... nie mówiłam że to bohater! — zawołała ciocia Giefia usłyszawszy te słowa.

XII.

Zkąd takie bohaterstwo przyszło nagle młodemu panu Szóstackiemu, czytelnik pewno pytać się nie będzie. „Potrzeba jest matką wynalazków," powiada przysłowie, i w duszy pana Artura wynalazła owo bohaterstwo potrzeba. Po niefortunnym sposobie ocalenia go od pójścia do oddziału, wymyślonym przez ciocię Giefię, niepodobna było zrobić nic innego jak to co zrobił, albo dać się ośmieszyć i znieważyć.

Został tedy pan Artur żołnierzem narodowym i został nim całą duszą. Przebrał się zaraz w długie buty, przypiął oznaki jakie nosili powstańcy, przypasał broń, i prosząc pana Bartłomieja, żeby go gdzie na warcie na całą noc postawił, zapewniał, że się żadnej służby dla ojczyzny nie wzdraga.

Dyplomacja czy *faire bonne mine au mauvais jeu* — pan Artur niedarmo był dyplomatą.

Pan Bartłomiej patrzył na to wszystko i głową kręcił.

— A no! czy tak czy siak, panie bratku będzie z waści żołnierz jak widzę.

Jako zwierzchnik i dowódca był uprawniony do tego poufalszego sposobu wyrażania się, ale mówiąc tak głośno, pomrukiwał z cicha pod nosem:

— Póki strzelać nie zaczęli, rozumie się.

Razem z walecznym rycerzem wstąpił do oddziału jego giermek, ów woźnica, który go dowiózł do Zaskala. Konie wyprzężone

*

z powozu przyjęte także zostały w służbę kawalerji narodowej.

Przez kilka dni służba wojskowa nie była ciężka dla pana Artura. Ograniczała się na mustrach, patrolowaniu, pikietach i rekonesansach niedalekich, mających na celu skomunikowanie się z innemi częściami oddziału Klina, rozlokowanemi w okolicy. Pan Bartłomiej stał ciągle kwaterą u cioci Giefi, ale czujny i baczny nie myślał o kapuańskich roskoszach i wciąż miał swoich ludzi w pogotowiu. W dzień i w nocy był wszędzie gdzie potrzeba i dbał o to, ażeby na dane hasło wszystko było gotowe do wyruszenia przeciw nieprzyjacielowi.

Chwila starcia, jak naczelny dowódca przewidział, nie mogła być daleką.

Czwartego dnia swojej służby wojskowej, z rana, szeregowiec Szóstacki (któżby się pod tem nazwaniem mógł domyślać byłego carskiego kamerjunkra!) otrzymał od p. Bartłomieja polecenie obserwowania przez lunetę drogi prowadzącej do Gradowiec, i dania znać, gdyby się okazała jakakolwiek oznaka. wróżąca zbliżanie się nieprzyjaciela.

Nie potrzebował czekać długo. Luneta pokazała mu wkrótce, na samym końcu widnokręgu piki kozackie.

(C. d. n.)

PAMIĘTNIKI

STANISŁAWA hr. MAŁACHOWSKIEGO,

Posła do Stambułu w czasie Sejmu czteroletniego, Generała, Senatora, Kasztelana Królestwa Polskiego itd. itd.

Z manuskryptu wydał i objaśnił

Wincenty hr. Łoś.

(Ciąg dalszy.)

CZĘŚĆ III.

Pochód do Moskwy w r. 1812.

Nadzieja wskrzeszenia narodu naszego, rozszerzenia kraju przez połączenie braci naszych i chęć dzielenia sławy współziomków moich, przemogła nad wszystkiem; zerwałem, że tak rzeknę, ogniwa szczęścia mego, a duch żołnierski przejął mnie całkiem. Nieoświecony w tem rzemiośle, a odbierając przeciwne wrażenia mym zasadom, z doświadczenia wyznam, że wyrzec się trzeba czułości i litości, trzeba mieć zatwardziałe serce lub zimny temperament, aby być wielbicielem tego stanu. Widziałem z zimną krwią popełniane największe ekscesa, napadanie na domy, rabowanie i niszczenie ziarna, zabieranie bydła, wypędzanie ludzi z ich własnych mieszkań. Wsie i miasta w popiołach, padających z głodu żołnierzy, zawalone drogi nieżywemi końmi i bydłem, stojące po polach smutne zwierzęta, konie ze zwieszonemi łbami, które nie mogąc postępować, porzucone, czuły bliski swój zgon i czekały onego; wołających rannych o pomoc, której im dać nie można było; omdlałych z głodu i wyniszczonych od trudów, przemarznięte członki odpadające od ciała; leżących na ziemi i ledwie zrozumiałym głosem żebrzących litości, aby trochę napoju lub pokarmu przedłużyło o chwilę ich życie, gdy tymczasem jego rodak i towarzysz przechodząc około niego, zdejmował żyjącemu jeszcze obuwie i odzież, aby podobnemu sam nie uległ losowi, lub odwlekł swoje przeznaczenie.

Jedenastu narodów zebrana masa wojska, przeszło czterykroć stotysięcy wynosząca, składała armję naszą. Wojsko nieprzyjacielskie postanowiwszy cofać się bez przerwy, wszystko paliło na trakcie, przez który mieliśmy iść i przymuszało mieszkańców do opuszczania swych siedzib, tak dalece, że skoro śmy tylko Niemen przeszli, ani magazynów żywności, ani furażów dla koni nigdzie już nie było i niedostatek dał się czuć nagle, nawet studnie zawalono, tak że wodę do napojów i gotowania braliśmy ze stawów i kałuż. Przymuszeni wysyłaliśmy do pobocznych wiosek małe oddziały, które zastając puste chaty i dwory, niszczyły i zabierały co tylko było. Potrzeba ta zwolniła karność żołnierską, ja zaś byłem szczęśliwy, że z początku dwa dwomy dworskie uratowałem od rabunku. Cieszyło mnie to, żem mógł wstrzymać najrozwięźlejszych z całej armji Westfalczyków, lecz później sam nie mając czem żywić koni, tolerowałem podobne grabieże, bo ludzi porażonych przykładem powszechnego rozprzężenia, wstrzymać już nie mogłem. Tem tylko różnili się moi od drugich, i to na ich usprawiedliwienie dodać muszę, że do żadnych podpaleń, ani niszczeń sprzętów nie należeli, że się brzydzili postępowaniem swawolnego żołnierza i prócz rzeczy do wyżywienia potrzebnych, nic więcej nie wynosili. Nasz korpus był pod rozkazami jenerała Latour-Maubourg, lecz znajdował się w wielkim nieładzie, chociaż sam wódz, mający przydomek słusznie sobie nadany przez Hiszpanów „*general sans peur et sans reproche*“ wydawał najsurowsze rozkazy, aby krzywdy mieszkańcom nie robić. Nie było można zapobiedz złemu, sami niszczyliśmy ducha patrjotyzmu. Obywatel bojąc się zemsty uchodzącego nieprzyjaciela, a nie widząc żadnej różnicy między postępowaniem tych, co mu egzystencję polityczną i swobodę obiecywali, a swymi wrogami, uchodził przed nami, unikał spotkania naszego, tak dalece, żeśmy przez wsie, jak przez dzikie stepy przechodzili, istoty żyjącej nie widząc. Pogłoski gwałtów, których dopuszczaliśmy się, poprzedzały nasz przechód: bojaźń, opinja niechętnych powiększyła okropność; wystawiano nas gorszych jeszcze, jak byliśmy w rzeczywistości, tak dalece, że gdyśmy przeszli Dniepr, mieszkańcy wynosili sprzęty, uprowadzali żywność, dobytki, uchodzili w lasy i szukali puszcz głębokich, gdzie z bronią przeciw nam się okopywali. Głód, który coraz więcej dawał się nam czuć, wiódł nas do ich schronień; posyłaliśmy więc oddziały z nabitą bronią, aby ich ztamtąd wystraszać. Mężowie uciekali przed hukiem strzelby w głąb lasów, a naprzeciw żołnierzy wychodziły zatrwożone matki u piersi swoich trzymające dzieci, i wołały: „Nie zabijajcie nas, oto o kilkanaście kroków zastaniecie żywność naszą!“ Podobne komendy za żywnością i gwałtowne marsze, które robiliśmy dla złączenia się z wielką armją, wyniszczyły tak korpusy nasze, że gdyśmy się z nią zeszli i stanęli na jednej linji, każdy pułk miał mniej o połowę ludzi i koni. Maszerowaliśmy po 11 mil na dzień, noc nawet nie była spoczynkiem; 36 godzin trzeba było siedzieć na koniu. Trzy miesiące byliśmy w takich trudach, nie mając ani razu do czynienia z nieprzyjacielem, aż nakoniec 6go września stanęliśmy w nocy w lasku pod Mozajskiem *), a rozkaz dzienny cesarza, zapowiadający nam batalję na dzień następny, przekonał nas, że jesteśmy złączeni z wielką armją. W jednej minucie, jak iskra elektryczna zapał powszechny ogarnął i przejął każdego żołnierza, zapomnieliśmy o biedzie, a chęć pokazania się godnym pochwały pierwszego bohatera świata i walczenia w oczach jego, podwajała męstwo powiększając niecierpliwość w oczekiwaniu bitwy.

Jeszcze noc zakrywała w trzech częściach horyzont, a w czwartej blade tylko światło zapowiadało jutrzenkę, gdy generałowie już do brygad swoich wydawali rozkazy. Odgłos trąby jak zwykle nie budził żołnierza, pułki w największem milczeniu zebrały się i stanęły na miejscu przeznaczonem. Równo ze dniem ruszył nasz korpus złożony z 5 regimentów kirysjerów, 5 hułanów polskich i pułku artylerji, liczącym 24 armat. Na czele postępował dowódca, generał Latour - Maubourg. Przechodziliśmy koło całej linji jazdy ciężkiej, złożonej z regimentów różnych narodów. Powszechne w szeregach głosy chwalące postawę naszą i dobry porządek dodawały ochoty.

Gdyśmy stanęli na prawem skrzydle kirysjerów francuskich, wkrótce nadjechał król Neapolitański całą kawalerję komenderujący, a przebiegłszy otwarte szeregi, odebrał od dowódców pojedynczych pułków raporta o ich sile. Ja miałem pod ów czas zdatnych do boju 365 ludzi, a wyszedłem w 456. Po odbytym przeglądzie ruszyło naprzód prawe skrzydło jazdy naszej. Zaledwie weszliśmy w wąwoz, którego armaty neapolitańskie broniły, gdy huk z dział ogłosił nam rozpoczęcie bitwy. Miejsce tak było wąskie, że kolumna nasza tylko szóstkami maszerowała. Krzyżowy ogień tak nam łamał szeregi, że pierwsze szóstki razem od jednego wystrzału padały, a drugie szły na śmierć oczywistą. Tam na czele swego szwadronu zginął mężny Jabłoński, jeden z najlepszych instruktorów jazdy; kula armatnia jego i konia w pół uderzyła. Żyjąc ze mną w przyjaźni, gdy padał o kroków kilkanaście odemnie, wołał mnie po imieniu przeraźliwym głosem, abym go nie odstępował. Powinność kazała zamilczeć litości; posłałem chirurga, aby go opatrzył. Kazano nam kłusem miejsce to przebyć; dałem znak trębaczowi przy mnie jadącemu, by otrąbił appel; zaledwie trąbę do ust przyłożył, kula armatnia urwała mu rękę, zabijając konia i jego. Potem już nie uważałem na padających żołnierzy. Kłusem dobrym wśród takiego ognia w pół godziny przebiegliśmy wąwoz, z którego wyszedłszy uformowaliśmy front i cała jazda uszykowała się na równinie, mając jednę baterję nieprzyjacielską na wysokiej górze na przeciw siebie, a dwie inne z prawego i lewego boku. Tam dopiero prawdziwa zaczęła się batalja. Ośmset paszcz spiżowych zionęło z obydwu stron piekielnym ogniem, niosąc śmierć i zniszczenie na wszystkie strony. Jazda nasza stała nieporuszenie przez ośm godzin pod natężonym, kartaczowym ogniem, sama nic nie działając. Świstanie kul podobne było do jesiennego wiatru, a nieprzerwany huk armat do nawalnicy w czasie wielkich upałów, połączonej z łoskotem grzmotów i piorunów. Grad kul wyrywał ziemię obsypując nią ludzi i konie; wyrwane szeregi zapełniały się nowymi żołnierzami, którzy stawali na poległych towarzyszach swoich. Wśród takiej okropnej pozycji żołnierz stał w największem milczeniu, najmniejszy nieporządek oznaczający trwogę lub nieufność nie wcisnął się w szeregi,

*) Mozajsk, Mosalsk, m. powiat. w gub. Kałużskiej nad rzeką Mozajką, niegdyś stolica udzielnego księstwa, przyłączone do Litwy, a na początku XVI w. oddało się W. ks. moskiewskiemu.

z uszanowaniem pełnem uwielbienia patrzałem na tę spokojną postawę żołnierzy. Dodać nawet trzeba, że żaden wódki w ten dzień nie pił, a od dwóch dni nie mieliśmy pożywienia. W tem przyszedł rozkaz, abyśmy redutę po prawej stronie leżącą, atakowali. Ruszyliśmy więc stępa aż pod samą górę: tu zaczął się atak, z prawej strony baterji uderzyli Westfalczyki, nasza zaś brygada, sam środek atakowała. Lecz rzęsisty ogień sypany z baterji tak zmięszał brygadę kirysjerów Westfalskich, że w największym nieporządku zepchnął już prawie na szczycie baterji będącą naszą kolumną i do cofnięcia się aż na dół przymusił. Nie tracąc momentu, jenerał saski Tilmann naszą brygadą komenderujący szykuje nas pod górą wśród kartaczowego ognia, obchodzi z drugiej strony baterję i w największym impecie konia, przebija się na szczyt i zostaje panem baterji.

Nadeszła piechota francuska, my zaś w największym porządku maszerowaliśmy do środkowej baterji; jużeśmy o kroków 300 od niej byli oddaleni, gdy przylatuje jenerał francuski, służbę adjutanta przy cesarzu pełniący, wołając do mnie: „*Colonel au nom de l' Empereur chargez à l' instant!*“ Odpowiedź moja była: „*Vive l' Empereur! en avant!*“ i w mgnieniu oka baterja była okryta moim żołnierzem. Rowy, które ją opasywały, nie były żadną zawadą; koń zdawał się dzielić zapał i sławę jeźdźca, dobywał sił ostatnich, aby z drugiemi w zawody idąc, pierwszy przeskoczył. Tam pułk mój wziął przeszło 300 jeńców i jedną armatę zagwożdżoną, którą zaraz oddałem do kwatery cesarskiej. Były jeszcze cztery armaty, ale bez koni i tych nie można było uwieść. Fosy były zasłane piechotą rossyjską; chciałem bezbronnych od śmierci zachować, ale rozjuszony żołnierz nie słuchał głosu dowódcy, rąbał i żelazo swoje broczył we krwi nieprzyjacielskiej. Wyciągnąłem sam z rowów zatrwożonych i bez przytomności leżących żołnierzy i ze czterech tym sposobem ocaliwszy, jako jeńców z kapralem i kilku ludźmi odesłałem. Z lewego boku zostawała nam jeszcze do zdobycia jedna baterja. Tu kirysjerowie francuscy formowali czoło kolumny; atakowaliśmy w kolumnie regimentami, których w tej akcji było 12; szliśmy, że tak powiem, na wyścigi, aż nakoniec i ta w rękach naszych została. Była już 4ta z wieczora, a chociaż byliśmy już panami placu bitwy, staliśmy jeszcze gotowi do boju na płaszczyźnie aż do 9ej w nocy. Nieprzyjaciel cofał się strzelając z ręcznej broni i armat, a chociaż był rozprószony, góry z tyłu służyły mu za zasłonę. Żeby sobie wystawić okropność rzezi dnia tego, należy wiedzieć, że naliczono 33 jenerałów francuskich zabitych lub rannych; w brygadzie saskiej z trzech regimentów złożonej, w której ja byłem, 50 oficerów było rannych lub zabitych, a w moim pułku żadnego nie było oficera, którzyby albo sam, albo koń jego nie był rannym. Ja dwa konie miałem pod sobą ranne, jeden od kartacza, drugi od kuli karabinowej, a kirys mój miał trzy zagięcia od kuli. Zdaniem samych Rossjan, dnia tego stracili oni 38.000, my zaś 20, ale strata nasza była największa w oficerach. Jenerałowie francuscy i sam nawet cesarz wyznał, że ani Jena, ani Austerlitz, ani Preusisch-Eulau, ani nawet Wagram tak długo nie wytrzymały ognia i podobnie nie były okropne. Bitwa ta była tylko bitwą artylerji i jazdy; inne kolumny stały nieczynne w pozycji. (D. n.)

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Co mogło być przyczyną tak wielkiego pomieszania dziewczęcia? Czy może miękka dusza Basi ulękła się grozy zapowiedzianych wypadków? Krew okrutnego wroga przeznaczona na przelanie, byłażby w stanie tak głęboko przerazić i wstrząsnąć umysł polskiej niewiasty? Nie! To wszystko samo przez się nie zdołałoby zapewne żadną miarą wpłynąć na taki psychiczny nastrój naszej bohatyrki.

Były zatem inne powody tego usposobienia, a poeta już w pierwszym ustępie swej powieści pozwala ich się domyślać czytelnikowi. Gdy pani Januszowa z rozczuleniem macierzyńskiem uspakajała swą ukochaną wnuczkę, Bartek stał zdając się nie słyszeć jej słów,

Milczał, w dziewczynę utkwił wzrok surowy,
Co biegł aż w duszę — ona się spłoniła,
Wsparła się ręką o stół, oczy skryła...

Więc istniała jakaś głębsza tajemnicza przyczyna tego niepokoju. Tę przyczynę odsłaniają nam następujące zaraz sceny naszego poematu. Po wypadku, o którym wspomnieliśmy i po krótkiej chwili dalszego czytania w żywotach świętych, zdrzymali się staruszkowie, a młodzi pozostali sam na sam.

Basia i Bartek nie byli sobie rodzeństwem...

Znali się oni oboje od dziecka, rośli i chowali razem. Dziewczę przywiązało się wprawdzie łatwo do młodzieńca, ale tylko przywiązaniem siostry do brata, a inne uczucie nie powstało w jej sercu. Inaczej miała się rzecz z Bartkiem. Młody cieśla rozgorzał wcześnie namiętnym pociągiem ku nadobnej towarzyszce lat dziecięcych. Uczucie to, czyste i szlachetne, trwało już całe długie lata i wzrastało z każdym dniem mimo braku wzajemności. Obojętność Basi, nietylko nie wyziębiła głęboko wkorzenionej miłości w duszy kochanka, lecz owszem potęgowała ją jeszcze, choć sam wiele cierpiał. Te cierpienia serdeczne, spowiadane istocie, która bohatyrowi naszemu droższą była niż życie, a opowiadane z niekłamaną szczerością i prawdą, odmalował poeta bardzo wdzięcznie i z uwydatnieniem całej ich skali.

Czytelnicy nasi nie będą się gniewali, że zeszkicujemy tę prześliczną scenę.

Wspomnieliśmy już, że gdy Bartek mówił o zamierzonem wymordowaniu Szwedów, Basia zbladła i struchlała. Najprzód tedy cichym szeptem przepraszał cieśla dziewczynę, że ją przed chwilą przestraszył.

.... Nie chciej winić;
Jeden Bóg tylko wie, co z sercem czynić, —
Jako je w piersi trzymać gdy rozboli...

A skoro Basia na to powiedziała, że mu nic nie gniewna, pokraśniał radością, i weselszem na nią patrząc okiem,

Oj! ty dziewczyno! ty gołąbko biała,
Patrzaj — rzekł czule — coś ze mnie zdziałała!
Ja, śmiałek pierwszy, jak nieżywy stoję,
Kiedy zachmurzysz jasne oczka twoje...
. . . .
Basiu! jedyna, — ptaszę moje złote!
Raz ty mi ulżyj ciężkiej serca spieki,
Życie i pracę oddam ci na wieki.

Gdy to mówił, Basia spojrzała nań chłodno; lecz on jakby nie pojmował tej mowy jej duszy, ciągnął dalej:

..... Cieślam, dziewczę, jak mój rodzic,
Lecz niech mi sercem sprosta wojewodzic!
Nikt, Basiu, jak ja nie pokocha ciebie,
Dla mnie tyś jedna, jak jeden Bóg w niebie.
Przy tobie — to już chyba ta garść ziemi...

Ale dziewczę cofnęło się przed młodzieńcem — jakby się przeraziło tych słów — i pobladło na twarzy; a Bartek poznając, że była dłań obojętną jak zawsze, uczuł znowu niewymowną boleść i wyjęknął:

O Basiu! — Basiu moja! nie masz duszy!

a potem dodał:

..... Kiedyś porwę mą siekierę,
Wpół nią rozpłatam moje piersi szczere,
I wydrę serce; — a ty patrz do woli,
Jak ono kocha ciebie, a jak boli...
Co krwi spalonej z niego już wyciekło...
I umrę... Basiu! — Basiu, pójdę w piekło!...

I począł gorzko, rzewnie szlochać... Płakał i oczy skrył w dłonie, i ujrzał przed sobą widmo zgubne choć ponętne, które niegdyś na jawie oglądał, a mężnie odegnał. Było to na skale nad Dunajcem. Tam stał raz z bardą i sosny spuszczał do wody. W tem w jasnych powiewnych szatach wyskoczyły ku niemu na brzeg topielice, i zaczęły pląsać w około, i latać jak gołąbki, i patrzać nań tak dziwnie a czule, i wołać a wabić ku sobie...

Skocz! skocz do fali; u nas cicho na dnie!

śpiewały czarodziejki. A on był taki nieszczęśliwy jak teraz, i już

.... już pochwycił jednej rękę białą,
Skłonił się.... i z nią zawisnął nad skałą...

Wówczas tylko krzyż święty uratował biednego od zguby... Teraz to widmo odżyło znowu w pamięci Bartka, a nadzieja cichego spokoju na dnie chłodnej fali łechtała go jeszcze bardziej niż wtedy... Przemógł się wszelako w walce ze zmorą i uspokoił. Zaświeciła nawet gwiazdka szczęścia zrozpaczonemu.

Nie dziś — to Basiu moja choć po wojnie.
Każesz rok czekać? będę jako żywo,
Choć Bóg wie, z jaką duszą niecierpliwą!
Chcesz dłużej? niech się wola twoja dzieje,
Jeno mi zostaw, dziewczyno, nadzieję.

Lecz jakże się okropnie łudził! Basia mu nie obiecywała nic, nawet w przyszłości.

.... Zapomnijcie o mnie!

rzekła i umilkła. Przejmujące zimno tych wyrazów ubezwładniło cieślę, zachwiał się, pobladł, zsiniał. Potem wstrząsł się, rzucił ku drzwiom gwałtownie i uchodząc, wyszepnął:

.... Niech ci Bóg przebaczy! —

Czy wobec tego wszystkiego serce pięknej bohatyrki naszego opowiadania było zgoła nieprzystępne uczuciu, co jako kwiat najwonniejszy zwykło zdobić młodość dziewiczą? Czyż Basia nie kochała nigdy i nie była zdolną nikogo pokochać? Nie! Dla Bartka wprawdzie nie czuła ona nic krom przychylności siostry, a teraz i litości; ale dusza jej gorzała przecież tym potężnym ogniem, który się zwie miłością.

Dla kogoż biło kochające serce dziewczęcia?... Młody cieśla wpadał już powoli na domysły, kto mógł być tym szczęśliwszym od niego; bo kiedy Basia na wieść o zamierzonem wyrznięciu Szwedów pomięszana bladła, on — jak wspomnieliśmy— surowy, znaczący wzrok utkwił w dziewczynę.

Któż tedy był tym wybranym?...

Na pierwszem piętrze domku naszych staruszków stał kwaterą od chwili zajęcia Sącza oficer szwedzki, pan Oskar. Młody i piękny, wykształcony i bogaty, był synem szwedzkiego starosty. Jego to pokochała tajemnie wnuczka Janusza, mimo różnicy rodu, wiary i obyczajów — bo miłość nie patrzy na nic. Uczucie swoje umiała Basia zręcznie ukrywać tak przed dziadkami, jak nie mniej przed czujnem okiem cieśli; a Bartek, jeżeli nawet coś przypuszczał, to tylko niepewnie. Bo i jakież były poszlaki? Oto Oskar wstępywał często do izby gościnnej, gdzie się różni schodzili, a szczególniej przychodził tam wtenczas, gdy się spodziewał, że Basia staruszków wyręcza „przy winie i miodzie.“ Wtedy zawsze przysiadał się do niej i rozmawiał z nią długo i uprzejmie, a dziewczę bywało mu rade. O tem wszystkiem wiedział młody cieśla, i to też tylko mogło dawać powody do owych przypuszczeń. Tego jednak wieczora miały nabrać te podejrzenia zupełnej pewności.

Gdy się rozstali po owej scenie, Basia zmięszana uklękła przed wizerunkiem Bogarodzicy i w modlitwie szukała uspokojenia. Gwałtowne cierpienia Bartka przejęły ją po raz pierwszy do głębi, a z tem wrażeniem staczało teraz walkę drugie głębokie uczucie. Po chwili wstała spokojna, uśmiechnięta i jakby instynktem wiedziona pobiegła do okna. Białe rączęta przycisnęła do bijącej piersi i przez szyby spojrzała na ulicę. Pogodną noc rozświecał jasny księżyc i rzucał długie cienie odbitych przedmiotów. Ona ciągle patrzała... Było cicho i pusto. W tem zdało się jej, że ktoś nadchodzi...

„On!“... rzekła z cicha — a tam, z ciemnej dali
Już słychać było kroki i szczęk stali.
„On!“ — i zmięszana waha się, czy czekać,
Czy wyjść na przeciw, czy.... z wstydu uciekać?
Ku drzwiom co chwila zwraca jasne oczy,
Serce jej z piersi ledwie nie wyskoczy...

W tej chwili wahania przyszła jej myśl do głowy wziąć dzbanek i wybiedz po wodę. Studnia była niedaleko, a Oskar musiał Basię koniecznie zobaczyć. Jakoż nastąpiło pożądane spotkanie. Szwedzki wojownik nie dla samej fantazji tylko polubił śliczną polską dziewicę. Przywiązał on się do niej całą siłą niespożytego młodzieńczego uczucia i ją jedynie uważał za przeznaczoną sobie losem towarzyszkę życia. Był jeszcze chłopięciem, kiedy miał wróżbę o niej. Raz w letni poranek biegał koło jeziora, a w tem wyszła z boru i zbliżyła się do niego kobieta, co znała leki i zioła zbierała.

Jam stał, a ona wpatrzyła się we mnie,
Jakby mą duszę chciała dobyć ze mnie,
I rzekła: „Dziewczę serce ci rozpali...
Krwi będą ludzie od ciebie żądali —
Ty chwycisz serce! — Taka twoja droga,
A każda droga wytknięta od Boga.“

Teraz te słowa powtarzając ukochanej, pojmował lepiej niż kiedykolwiek ich znaczenie, a przedewszystkiem owę zagadkową i zgoła ciemną dlań wówczas wieszczbę:

Krwi będą ludzie od ciebie żądali!

Obecnie, wtajemniczony w najbliższe plany wojenne, widział jasno jak na dłoni, czyjej to krwi od niego żądano. Sącz miał się stać niebawem ofiarą rzezi i pożogi, a między ginącymi pod mieczem padłaby niewątpliwie i Basia. Na samę myśl o tem wzdrygało się serce młodzieńca; toż wyjawiając już prawie straszną tajemnicę, rzekł do dziewczęcia:

Sztajn krwi chce waszej!...

Ten krok stawiał go od razu na pochyłej drodze niedopełnionych zobowiązań i złamanej przysięgi i w następstwie swojem wiódł koniecznie do zguby. Zawahał się chwilę — ale wiara w przeznaczenie i miłość przemogły.

Ta dłoń, nie serce, ma u króla służbę.
. . . . Więc się dłoni zbędę,
Utnę — a w waszej krwi kalać nie będę,
I wyratuję cię ztąd choć bez dłoni
Z krwi i płomieni...

A widząc we wzroku dziewicy całą jej duszę miłującą i szczerą, dodał:

O! ja cię, Basiu, kocham niewymownie!
Tyś moją... Cóż król? — jam jak król bogaty
I możny jako król mój; a te szaty
I barwy, choć są służalca znamieniem,
Wiem, droga, żem je tem wdziewał ramieniem
I tem ramieniem znów je zedrzeć mogę!...

Tak mówił — a Basia już dłużej nie tai uczucia, lecz dłoń Oskara ścisnąwszy nieznacznie, do dziadków swoich go odsyła. Pobłogosławią go oni pewnie jak syna, skoro tylko uczciwie, jak przystało, przyszle w swaty. Ale wpierw musi się wyrzec Lutra;

. . . . . . inaczej rzecz zdrożna
I nie odpowie dziewczę, ni wielmożna.

I drobnemi rączkami obwinęła szyję kochanka, a on jej coś długo szeptał do ucha. Złowrogie musiały być nowiny szwedzkiego oficera, bo Basia bladła i drżała przerażona, a Oskar przelękłą ledwie zdołał uspokoić.

Tej sceny wieczornej świadkiem był Bartek. Od razu zrozumiał swoje położenie. Nieszczęśliwemu wszystka krew uderzyła do głowy. Wbiegł do domu, zdjął ze ściany gwintówkę i wrócił. Oni oboje stali jeszcze na miejscu. Patrzy i mierzy — ale żadnym sposobem nie mógł strzelić w kark niewierny... ramię Basi trzymało go w objęciu. W tem ktoś nadszedł, wyrwał mu broń z ręki, a samego pociągnął za sobą.

Poszli do gospody Janusza, dokąd i poeta nas przenosi. Tu zbierało się teraz właśnie sławetne koło mieszczan: młodzież i starszyzna.

Zatrzymaliśmy się dłużej przy powyższych epizodach naszej opowieści — i nie bez przyczyny; należą one do najdramatyczniejszych, a prócz tego rzucają wiele światła na charaktery i wzajemny do siebie stosunek naczelnych bohatyrów. (C. d. n.)

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

(Ciąg dalszy.)

Birmanja obfituje w wulkany, i w moich wycieczkach wzdłuż kraju naliczyłem ich ze sześćdziesiąt a jestem daleki od wyczerpania całej cyfry. Jedne ciągle czynne, miotały popiół i kamienie; drugie, zdające się niby gasnąć, wybuchały od czasu do czasu, a wyrzucając rozpaloną lawę, groziły bez przerwy spokojnym mieszkańcom. Znając dziś ścisły związek między wybuchami wulkanów a trzęsieniem ziemi wiemy, że każde z tych zjawisk jest przyczyną, lub skutkiem wewnętrznych przeobrażeń geologicznych. Ztąd łatwo pojąć jak często Birmanja musi być nawidzaną przez tę klęskę; to też nie ma tam znaczniejszego miasta któreby kilkakrotnie nie było wywrócone do góry nogami. Trzęsienia ziemi, objawiają się najczęściej przed nadchodzącemi deszczami, lub po zejściu wód zimowych. Ziemia spragniona kilkomiesięczną posuszą wpija szybko ulewne deszcze, powierzchnia rozpada się w szerokie czeluści, i skutkiem tych przeobrażeń następuje wzburzenie materyj palnych, trzęsienia ziemi i wybuchy wulkaniczne. Te same skutki niszczące objawiają się po opadnięciu wód zimowych, co równa się formalnemu potopowi gdyż trwa przez trzy miesiące.

W Mandelay, nowej stolicy państwa Birmanji, z końcem sierpnia i początkiem września, roku 1859, nie było prawie dnia, żeby nie dały się czuć drgania powodowane wewnętrznemi wzburzeniami, a jednego poranku było ich aż pięć i to w przeciągu dwóch godzin.

Żeby uchronić się od śmierci wśród gruzów, mieszkańcy Birmanji ze stanu ubogiego, budują sobie chaty z bambusu; klasa bogaczy zamieszkuje drewniane domy, a dla cudzoziemców, którzy nie mogą przyzwyczaić się do tego rodzaju mieszkań, zaczynają teraz stawiać domy z pruskiego muru, albo wyplatają ściany walcami ze słomy i tynkują ze stron obu: dach, raczej terasa z grubych tarcić pokryta jest betonem. Ten rodzaj budowy, przez swoją elastyczność, opiera się do pewnego stopnia wstrząśnieniom ziemi.

Mieszkając w jednym z takich domów, w pokoju służącym za kredens, kazałem w braku stosownej szafy ustawić półki, na których umieściłem nasz serwis stołowy. Każde drgnienie ziemi, powodowało brzęk talerzy i zaledwie doszło nas dzwonienie' szklanek butelek i półmisków opuszczaliśmy mieszkanie. Przy tej sposobności zauważałem pewien głos, niby skrzeczenie, ale donośniejszy i więcej wyraźny, który dziwnym zbiegiem odzywał się zawsze przed zbliżającem się trzęsieniem ziemi. Nie mogłem zrazu dojść, zkąd głos pochodził, ale miałem z sobą małego bonońskiego pieska bardzo czujnego, który usłyszawszy to szczególne skrzeczenie natychmiast zrywał się, szczekał, a obwąchawszy cały pokój stawał łapkami wspartemi o ścianę wpatrując się pilnie w sufit. Po kilkakrotnem powtórzeniu tego manewru przez psa, odkryłem

wreszcie w szczelinie dwóch źle spojonych tarcic, jaszczurkę, na co jednak zrazu nie zwróciłem uwagi. Ale dnia pewnego o świcie moja jaszczurka wszczęła śpiew, tak przenikliwy i złowrogi, a pies wtórując, tak zaczął wyć i szczekać, że zbudzony tym piekielnym hałasem wstałem usiłując przerwać nieproszony koncert. W tem doleciał mię daleki grzmot, który wzmagał się z przerażającą szybkością. W jednej chwili otworzyłem okno parterowe, chwyciłem żonę na wpół uspioną, i wyskoczyłem na wolne powietrze. Szczęściem skończyło się na strachu. Trochę tynku oderwało się od sufitu i połowa porcelany poszła w kawałki, ale od tego czasu zacząłem zwracać baczniejszą uwagę na moją jaszczurkę i pozwoliłem psu wyć bezkarnie. Później, moje spostrzeżenia zostały potwierdzone przez jednego z wielkich dygnitarzy duchownych, i faworytę zdetronizowanego w 1853 roku cesarza Paghan Meng. Oboje przyznali mi się w poufałych zwierzeniach, żem się nie omylił, i odgadł tajemnicę, która od czasów Alompry jest poczytywana za objawienie nieba.

Wiadomo każdemu, jak czułą jest na działalność galwanizmu żaba, a że wzburzenia i wewnętrzne konwulsje ziemi powodują zawsze wydzielenie pewnej części elektryczności, łatwo więc pojąć, że te wyziewy działają tak samo na jaszczurkę śpiewającą, pobudzając ją do krzyku, mniej lub więcej głośnego, który trwa bądź dłużej, bądź króciej, stosownie do siły wydzielającej się elektryczności. Gatunek wzmiankowany jest bardzo rozpowszechniony na całej przestrzeni państwa birmańskiego, i nazywają go tamże *Thau-Thay*. Okazy, które zdarzyło mi się widzieć, były długie od 12 do 20 centymetrów, miały korpus cienki, przedłużony, głowę stosunkowo dużą, skórę cieniowaną, na popielatem tle centki czarne, żółte, czerwone i zielone. Oczy są u nich nadzwyczajnej ruchliwości, a pod niższą szczęką, zacząwszy od wargi aż do szyi, rozrastał się znacznej objętości podgardziel, którym te gady wydają wyż wspomniony krzyk. Mają one również łatwość porywania ofiary przechadzając się po sufitach, do czego służy im wybornie ich chropowatość i ruchomość pazurów. Szczególną własnością obdarzony jest także ogon, który za najmniejszem uderzeniem odrywa się na którymkolwiek spojeniu, przy czem ubytek krwi jest prawie żaden, a ból zdaje się również niewielki, gdyż jaszczurka nie wydaje wtedy żadnego głosu, i wcale jej to nie przeszkadza umykać coprędzej. Tej jaszczurce zawdzięcza więc swoją karjerę panująca dziś w Birmanji dynastja.

ROZDZIAŁ IV.

(Niepoczesna przygoda. — Charakterystyka bażanta. — Bażant strzała.)

Podczas mojej bytności w Rangun urządzałem bardzo częste polowania z moimi towarzyszami podróży. Miasto to położone nad ujściem rzeki Irawady do zatoki Martabanu, stanowi jedyny port prowincji Pegu, dawniej niższej Birmanji, a dziś znajdującej się w posiadaniu Anglików. O dwie mile od miasta, rzeka przybiera majestatyczny pozór, gdyż rozlewa się w imponującą masę wody na siedm do ośmiu kilometrów szeroką; zdala ciemnieją grupy drzew z po nad których wychylone kopuły kilku pagod tworzą uroczy widok. Na pierwszym planie zielone krzaki niby naturalny żywopłot, kąpią się za przypływem wody, a olbrzymie drzewa wyrosłe tu i owdzie utrzymują potężnemi konarami grunt, rozrywany corocznemi powodziami, i podmulany nieustannym przypływem i odpływem morza. Brzegi rzeki obfitują w zwierzynę, i dnia jednego wybraliśmy się we trzech na wielką wyprawę myśliwską.

Już sam początek naszej wycieczki nie był szczęśliwy. Olśniewające słońce raziło nam wzrok pomimo szerokich kapeluszy, które niedostatecznie chroniły od żaru, liście kryły zwierzynę, a łódź wydrążona z olbrzymiego pnia, kołysała się w sposób zatrważający, bo ją porywał prąd szalony. Strzelaliśmy na chybił trafił, zmuszeni dobijać do brzegu za każdą ubitą sztuką, co było rzeczą dość trudną i niebezpieczną. Za pierwszym strzałem mojego towarzysza wiwera piżmowa stoczyła się z drzewa. Miała sierść popielatą w czarne cętki, kitę kędzierzawą, sutą i dużą, tułów nie większy od domowego kota, a wydawała odor tak odurzający, że za nic w świecie nie byłbym skosztował jej mięsa. Mój przyjaciel życzył sobie posiadać skórę, i wioślarze zabrali się do zciągania jej ze zwierza; przy tej operacji zauważyłem jak starannie zbierali ciecz czarniawą, zawartą w pęcherzyku u nóg tylnych; później dowiedziałem się, że płyn ten ma własności pobudzające zmysły, i jako bywa taki sprzedawany dość drogo.

Nieco dalej drugi mój towarzysz ubił olbrzymią papugę czerwoną o jaskrawem opierzeniu, której mięso twarde i łykowate, nie daje się jeść. Przyszła w końcu i na mnie kolej. Brzeg zaokrąglony w tem miejscu, wysuwał się językiem w rzekę, która pieniąc się i wirując okalała przeszkodę. Nad tym cyplem rozgałęziało się kolosalne drzewo, i na niem ujrzałem kołyszącego się bażanta. Wstaję, zmierzam, strzelam, i mój ptak zsuwa się bezwładnie upadając w gąszcz z zielonych splotów. Łódka lekko pomknęła po szumiących falach, lecz w tem łódź się przechyla i my w jednej chwili znaleźliśmy się w wodzie. Nigdy może nie byłem tak bliskim śmierci. Wszyscy prawie należeliśmy do pływaków pierwszorzędnych, ale prąd tak był szalony, że w oka mgnieniu porwał nas i uniósł daleko od miejsca wywrotu; zaledwie czepiając się gałęzi i konarów nadbrzeżnych, zdołaliśmy uratować życie.

Znalazłszy się przy brzegu w miejscu gdzie woda cicho płynęła, rozebraliśmy się i rozwiesili do słońca nasze mokre ubranie. Ale do wszystkiego trzeba mieć szczęście! Gdy tak spokojnie suszymy nasze toaletowe przybory, dolatuje naszych uszów pewien szelest, rodzaj plusku podwodnego, oznajmiający niechybnie pochód rekinów lub krokodyli. Nienasycone żarłoki już się pewnie uraczyły naszemi torbami myśliwskiemi i zwierzyną, a teraz idą schrupać nas smacznie na deser. Czem tu się obronić? Strzelby nasze pochłonęły nurty rzeki — to też nie mając nic lepszego do czynienia, zarzuciliśmy mokrą jeszcze odzież, i z miejsc niebezpiecznych wynieśliśmy się co prędzej. Każdy z nas utracił broń, wioślarze tylko do trzech części nadzy, nie mieli nic do stracenia oprócz łodzi, która porwana prądem rzeki poszła zginąć wśród niezmierzonej toni fal morskich.

Nieszczęsna ta wycieczka drogo nas kosztowała. Musieliśmy wynagradzając wioślarzom stratę łodzi zapłacić 40 rupii (100 franków) i w dodatku zrobić kilka mil pieszo, przedzierając się przez krzaki i bagniste zarośla do warstatów okrętowych, znajdujących się na przeciwnej stronie miasta. Ztamtąd, z zapadającym dopiero zmrokiem, dostaliśmy się do Rangun, co było całem naszem szczęściem, że osłonięci nocnym cieniem, uniknęliśmy wybuchów wesołości i żartów jakiemi by nieomieszkano powitać nasz powrót. Zabłoceni po pas, w łachmanach, bez kapeluszy — ładnieśmy wyglądali!

Nie dla tego bym żywił urazę do zabitego bażanta, opowiedziałem ten niefortunny wypadek, ale nie lubię tego ptaka, i mimo jego ładnych kształtów i pięknego opierzenia rzadko kiedy darzyłem go honorem strzału, chyba w wielkim braku zwierzyny. Jest on egoistą, nie przywiązuje się ani do samicy, ani do swoich piskląt a sam ciężki, nie umiejący się bronić, nie stara nawet ustrzedz się od niebezpieczeństwa; mięso jego jest przytem mało soczyste a rozpalające. Nie wszystkie jednak odmiany zasługują na taką naganę. Dużo bardzo gatunków przyswojonych w Europie, znajduje się także w Indjach i Indo-Chinach, jak naprzykład bażant popielaty, bażant złotawy lub trójkolorowy, bażant srebrzysty od spodu czarny, i rodzaje nam zupełnie prawie nieznane, mianowicie bażant morowy, bystrooki, niebieski, bażant-strzała i bażant-śniegów, który nigdy prawie nie wydala się ze szczytów Himalajów chyba porwany zamiecią.

Ptak ten jest nadto u nas znanym i rozpowszechnionym w bażantarniach, bym się potrzebował rozwodzić nad różnicą między dzikiemi mieszkańcami Indo-Chin, a zdegenerowanem pokoleniem naszych na wpół oswojonych bażantów. Spostrzeżenia moje odnoszą się wyłącznie do tych okazów, które mieszkają w lasach i kniejach głębokiego Wschodu. Tam bażanty trzymają się zwykle krańcowych części borów, zkąd nad ranem robią wycieczki za żywnością, zawsze parami lub małemi stadami, od siedmiu do ośmiu sztuk, chyba że kura wiedzie za sobą młode, to wtedy jest ich więcej. Tym porządkiem zapędzają się w zboża, które dojrzewają, lub spieszą na świeżo zasiane pola ryżem, prosem, sesamo, lub tytoniem, gdzie wyrządzają szkody niesłychane. W dzień siadają na gałęziach lub śpią na ziemi, a na noc siadają na niedostępnych szczytach drzew, chroniąc się przed drapieżnemi ssakami; zamiast wzlecić i siąść od razu w upatrzonej kryjówce, dolatują pierw do pnia, i tam z gałęzi na gałęź wskakują coraz wyżej, wydając za każdem wzniesieniem się ostry krzyk, aby zmylić drogę do miejsca, które obrały. Gdy nadchodzi czas łączenia się parami, co następuje we wrześniu i styczniu, wynoszą się w głąb lasu, gdzie samica w największej gęstwinie, często u stóp drzewa, składa swoje jaja, wyprowadzając pisklęta w dostępniejsze miejsca, dopiero gdy zaczną podlatywać. Samiec jest to ptak głupi, egoista, podły i tchórz, najczęściej przesiaduje sam lub z przybranym towarzyszem, troszcząc się nie wiele o samicę, którą opuszcza, i wcale nie dba o swoje potomstwo. Jeżeli przypadkiem zostanie napadnięty w ich gronie, ucieka pozostawiając ich własnym siłom. Wtenczas najczęściej obiera sobie towarzysza i staje się ćwikiem; stare kury idą także często za przykładem samca, a wtedy z głosu i pierza stają się podobne do koguta.

Bardzo płochliwy na ziemi, bażant znalazłszy się raz na drzewie, czuje się tak bezpiecznym, że go można z łatwością podejść. Desire, mój służący, mimo wrodzonej niezgrabności psawie zawsze przyniósł bażanta byle tylko dowiedział się o jego schronieniu. Raz widziałem

go jak zastrzelił jednego nabijając i to bez pospiechu trzykrotnie broń swoją. Huk strzału, ziarnka śrutu przelatujące koło niego, nie mogły zdecydować bażanta do opuszczenia kryjówki; dał się zabić przez głupotę.

Jest jeszcze w Chinach okaz i to najpiękniejszy, mianowicie bażant strzała, odróżniany tem mianem dla szybkości swego lotu, a najwięcej ceniona jego odmiana przebywa w górach Yu-Nan i nazywają ją *Chan-Tche* (strzała gór.)

W Chinach złapany bażant Chan-Tche musi być oddany do cesarskiej bażantarni; w Birmanji z prawa przynależy on do gubernatora prowincji, ale najczęściej starają się ominąć tę ustawę z powodu, że ofiarujący rzadko otrzymuje nagrodę, a ptak jest smaczny, pióra zaś jego cudownej piękności, wielce są poszukiwane przez chińskich dygnitarzy, którzy je uważają za wyszczególniającą oznakę stroju. Długi ogon, odwaga z jaką gromadnie uderza na wielkie ptaki i szybkość nadzwyczajna, robią go tak cennym, stawiając niejako na honorowym szczeblu.

Samica jest prawie tak piękna jak samiec, wedle powszechnego mniemania raz tylko w życiu wywodzi pisklęta, co by tłumaczyło rzadkość tej odmiany. Ztąd uważają powszechnie samicę tego ptaka za godło czystości, nazywając dziewicę „bażantem“ i zakonnicom budystkom wolno stroić się w jej pióra.

Polując na ten gatunek bażantów, trzeba się mieć na ostrożności, i być pewnym swego strzału. Spłoszone lotem błyskawicy wzbijają się w górę do znacznej wysokości i ztamtąd z szybkością orła spuszczają się na zuchwalca co śmiał je zaniepokoić; jest to chwila najkorzystniejsza dla celnych strzałów. (C. d. n.)

Spadające liście

z

Sainte Beuve.

Spektakl nie nowy. Co roku w jesieni
Wiecznie taż sama daje go natura:
Brzmi chłodnych wichrów kapela ponura,
A zwiędłe liście walcują w przestrzeni.

Czemuż więc, czemu, choć wciąż się powtarza,
Wciąż jakimś smutkiem serce nam przenika?
Jak drzewo z liści, dusza śmiertelnika
Pod wichrem zwątpień z wiary się obnaża!

Lecz w tem różnica: drzewo obnażone
Z powrotem wiosny znów świeżą koronę
Na rdzeń chroniące przywdzieje konary.

Z wiary odarta dusza tu na ziemi,
Nigdy już pono nie zakwitnie niemi,
Chyba przed Bogiem, — źródłem wszelkiej wiary!

Paryż d. 10 Lutego 1876. Naśladował *J. S. Chamiec.*

Dwa orszaki

z

Józefa Soulary.

U wrót kościelnych dwa różne orszaki
Zeszły się z sobą. — rzecz zwykła na świecie;
Jeden uwite w śnieżne powijaki,
Do chrztu wesoło przyprowadzał dziecię.

Drugi posępny i pełen żałoby,
O znikomości człowieczej tu doli!
Małe też dziecię, lecz tam, kędy groby
W czarnej trumience przynosił powoli.

Za tamtym matka szła rozpromieniona,
Za tym też matka, ale we łzach cała—
Tamtej śmiech szczęścia, tej jęk rwał się z łona.

Spojrzały na się i... Bogu bądź chwała!
Jedna zamilkła czemści pocieszona,
Druga zaś smutna, czegoś zapłakała...

Paryż d. 15 Stycznia 1876. Naśladował *J. S. Chamiec.*

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tajemnica.

Rozdział VI.

(Ciąg dalszy.)

(Projekta wyprawy. — Ayrton w zagrodzie dla bydła. — Odwidziny w Porcie Balonowym. — Uwagi Pencroffa na pokładzie Bonawentury. — Depesza wysłana do zagrody. — Nie ma odpowiedzi Ayrtona. — Wyprawa w dniu następnym. — Czemu drut nie funkcjonuje? — Wystrzał.

Wśród tych wszystkich zajęć i zamiarów naczelną myślą osadników było zupełne zbadanie wyspy, już postanowione i obecnie mające cel podwójny, po pierwsze, odkryć tajemniczą istotę, której istnienie nie podlegało już dyskusji, a po drugie dowiedzieć się co się stało z piratami, jaką sobie wybrali kryjówkę, co porabiają i czego się z ich strony obawiać można. Cyrus Smith chciał natychmiast wybrać się w drogę, ponieważ jednak wyprawa miała zająć dni wiele, uznano za stosowne naładować wózek przedmiotami niezbędnemi do urządzenia obozowiska, oraz naczyniami i zapasami potrzebnemi w czasie przystanków. A jak na to w danej chwili jeden z onagasów zraniony w nogę, niezdatny był do zaprzęgu, a potrzeba mu było najmniej kilku dni spoczynku. Osądzono tedy, że bez szkody dla sprawy można odłożyć odjazd na tydzień, to jest na dzień 20go listopada.

Miesiąc listopad pod tą długością geograficzną odpowiada majowi stref północnych. Była to więc najpiękniejsza pora roku. Słońce dochodziło do znaku koziorożca, zaczynały się najdłuższe dni w roku. Był to więc czas najzupełniej pomyślny dla ułożonej wyprawy, która gdyby nawet nie osiągła głównego swojego celu, mogła być obfitą w odkrycia, szczególniej co do płodów przyrody, tem bardziej, że Cyrus Smith zamierzył przepatrzeć owe gęste lasy Zachodniej Ręki, rozciągające się aż do krańca półwyspu Wężowego.

W ciągu dziewięciu dni, poprzedzających odjazd, postanowiono przyłożyć się do ostatnich robót na Wielkiej Terasie.

Koniecznością jednak było, ażeby Ayrton powrócił do zagrody, gdzie przyswojone zwierzęta wymagały jego opieki. Zadecydowano tedy, że przepędzi tam dwa dni, i że powróci do Pałacu Granitowego dopiero po hojnem zaopatrzeniu oborek.

W chwili, gdy wyruszał w drogę, Cyrus Smith go zapytał, czy nie życzy sobie, aby mu kto z nich towarzyszył, jednocześnie zwracając uwagę jego na tę okoliczność, że wyspa dziś stała się mniej pewną, niż była dawniej.

Ayrton odrzekł, że toby się na nic nie zdało, że da sobie rady, i że zresztą niczego się nie boi. Gdyby zaś jaki wypadek zdarzył się w zagrodzie lub w jej pobliżu, przyobiecał oznajmić o tem niezwłocznie osadnikom za pośrednictwem telegrafu.

Po takiem porozumieniu się, o świcie wyruszył Ayrton z Granitowego Pałacu, biorąc z sobą wózek, zaprzężony tylko w jednego onagasa, a w dwie godziny potem młotek elektryczny oznajmiał, że w zagrodzie wszystko w porządku.

Dwa dni Cyrus Smith zajmował się wykonaniem pewnego projektu mającego ostatecznie zabezpieczyć Pałac Granitowy od wszelkiego niespodzianego zamachu. Szło tu mianowicie o zasłonięcie zupełne wyższego otworu dawniejszego odpływu wód, już zamurowanego i ukrytego napoły pod krzewami i ziołami w południowym narożniku jeziora Granta. Nie było nic łatwiejszego nad to zadanie. Wystarczało podnieść na dwie do trzech stóp poziom wody w jeziorze, a otwór zatonąłby w nich bez śladu.

Dla podniesienia zaś tego poziomu, potrzeba było tylko wybudować groblę na każdym z dwóch odpływów z jeziora, zasilających potok Glicerynowy i Wielkiej kaskady. Wezwano tedy osadników do roboty i bardzo szybko z pomocą kawałów skał, dobrze zcementowanych, powstały dwie groble, nie przechodzące zresztą sześciu stóp na szerokość a trzech na wysokość.

Po skończeniu tej pracy, nikt nawet nie wpadłby na podejrzenie, że istniał tu kiedyś jakiś kanał podziemny, odprowadzający nadmiar wód z jeziora.

Rozumie się samo z siebie, że maleńki odpływ, zasilający wodozbiór Pałacu Granitowego i poruszający windę, zachowano troskliwie, i że w żadnym razie nie mogło zabraknąć wody. Obecnie, po podniesieniu windy, pałac Granitowy stawał się pewnem i wygodnem schronieniem, wyzywającem spokojnie wszelki niespodziany zamach.

Pracy tej zbyli się osadnicy z wielkim pospiechem, tak że Pencroff, Gedeon Spilett i Harbert znaleźli czas jeszcze na wycieczkę do Portu Balonowego. Marynarz mocno pragnął dowiedzieć się czy maleńka zatoka, w której spoczywał „Bonawentura“ nie odebrała odwidzin rozbójników.

— Bo właśnie — rzekł — uważałem, że ci dżentelmeni skierowali się ku południowemu wybrzeżu, jeżeli więc trzymali się tej linji, to jest obawa, że odkryli nasz mały porcik, a w takim razie nie dałbym i pół dolara za naszego „Bonawenturę.“

Obawy Pencroffa nie były bezpodstawne i wycieczka do Portu Balonowego wydała się wszystkim na czasie.

Po objedzie tedy 10. listopada wyruszył marynarz z towarzyszami, wszyscy dobrze uzbrojeni. Pencroff wpuszczając ostentacyjnie po dwie kule w każdą lufę swojej strzelby, potrząsał głową: znak nie zbyt dobrej wróżby dla każdego, co się doń nadto przybliży, „zwierzę czy człowiek“ jak mówił. Gedeon Spilett i Harbert wzięli także każdy swoją strzelbę — i tak, około trzeciej wszyscy trzej opuścili Pałac Granitowy.

Nab odprowadził ich aż do okrętu Dziękczynnej, a skoro przeszli na drugą stronę, zwiódł most za nimi. Taka zaś stanęła umowa, że osadnicy wystrzałem dadzą znać o swoim powrocie.

a na ten znak Nab przybędzie przywrócić komunikację między dwoma brzegami rzeki.

Mała gromadka ruszyła prosto drogą wiodącą do portu ku południowemu wybrzeżu wyspy. Cała ta odległość wynosiła tylko trzy i pół mili, ale Gedeon Spilett z towarzyszami przebyli ją dopiero w dwóch godzinach. Przeszukali bowiem cały kraj drogi, tak od strony gęstego lasu jak i od błot Tadornów. Nigdzie nie znaleźli ani śladu zbiegów, którzy niewątpliwie nie mając jeszcze ustalonego przekonania o ilości osadników i ich środkach obrony, ukryć się musieli w najnieprzystępniejszych częściach wyspy.

Gdy mała gromadka przybyła do portu Balonowego, Pencroff z najwyższą pociechą ujrzał „Bonawenturę“ spokojnie stojącego na kotwicy w ciasnej zatoczce. Zresztą Port Balonowy był tak dobrze ukryty w pośród tych skał wysokich, że niepodobna go było odkryć, ani z morza, ani z lądu, chyba z pozycji górującej nad nim.

— No! — zawołał Pencroff — jeszcze tu te łotry nie byli! Wielkie trawy przypadają gadom bardziej do smaku i rzecz widoczna, że odnajdziemy ich w lesie Zachodniej Ręki.

— Uważajmy to za szczęście — odrzekł Harbert — bo gdyby byli znaleźli „Bonawenturę“ zabraliby go niewątpliwie, aby na nim uciec, i tym sposobem odjęliby nam możność powrócenia w bliskiej przyszłości na wyspę Tabor.

— W istocie — rzekł korespondent — a ważną jest rzeczą zawieść na tę wyspę dokument, zawiadamiający o położeniu geograficznem wyspy Lincolna i o nowem miejscu pobytu Ayrtona, na przypadek gdyby yacht szkocki po niego przybył.

— Tak, panie Spilett — zawołał marynarz — a więc oto „Bonawentura“ na swojem miejscu, a załoga jego na pierwszy znak w pogotowiu do drogi.

— Ja sądzę, Pencroffie, że pora na to będzie właściwa po ukończeniu naszej wyprawy w głąb wyspy. Możebną jest bowiem rzeczą, że ów nieznajomy, jeżeli potrafimy go znaleść, dużo nam powie jeszcze o wyspie Linkolna i o wyspie Tabor. Niezapominajmy, że on to jest niezaprzeczonym autorem znalezionego przez nas dokumentu i że wie, być może, o terminie powrotu yachtu.

— Do miljona djabłów — zawołał Pencroff. — Ktoby to mógł być taki. On nas zna, ten jegomość, a my go nie znamy! Jeżeli to tylko rozbitek, dla czego się ukrywa? Toż my przecie uczciwi ludzie — jak mi się zdaje — a kompanja uczciwych ludzi nie jest wstrętną nikomu! Czy przybył tu z wolnej woli? Możeż opuścić wyspę, jeśli mu się podoba? Jestże tu jeszcze — czy go nie ma?...

Tak rozmawiając Pencroff, Harbert i Gedeon Spilett weszli na pokład „Bonawentury“ i przebiegali po nim. Naraz marynarz, obejrzawszy blok, w około którego okręconą była lina kotwicy:

— A to co znowu! zawołał. Nie tego już za wiele!

— Cóż tam takiego Pencroffie? spytał korespondent.

— Co?! To, że nie ja ten węzeł zrobiłem! I to mówiąc, wskazał na linę przytrzymującę kotwicę.

— Jakto, nie ty? — zapytał Gedeon Spilett.

— Nie! gotów jestem przysiądz. Ten węzeł jest płaski, a ja mam zwyczaj robić duże pół kluczki.*)

— Musiałeś się omylić, Pencroffie!

— Co ja — omylić się! Taka rzecz to już leży w ręce — a ręka się nie myli!

— Należałoby więc sądzić, że piraci byli tutaj?

— Albo ja wiem — odrzekł Pencroff — ale to pewna, że ktoś podniósł kotwicę „Bonawentury“ a potem spuścił ją na nowo. O patrzcie! nowy dowód! Widocznie ściągano linę, bo płótno którem ją obwijają ażeby się nie tarła, nie znajduje się na swojem miejscu. Powtarzam wam, że ktoś używał naszego statku....

— Ależ, gdyby to byli piraci, byliby statek zabrali i uciekli....

— Uciekli! — a gdzie?... Na wyspę Tabor?... odparł Pencroff. — Myślisz więc, że byliby się odważyli puścić na statku tak lekkim?

— Zresztą, należałoby przypuścić, że zdołali odkryć tę wysepkę, zauważył korespondent.

— Tak czy owak — rzekł marynarz — to pewna, że jakem Bonawentura Pencroff z Vineyard, nasz „Bonawertura“ odbył kurs bez nas.

Twierdzenie marynarza miało wyraz tak stanowczy, że ani Gedeon Spilett ani Harbert nie mogli nic przeciw niemu postawić. Widoczną było rzeczą, że statek był poruszony z miejsca, mniej lub więcej od chwili po zostawieniu go przez Pencroffa w porcie Balonowym. Dla marynarza zaś nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że kotwicę podniesiono i spuszczono na nowo. Otóż, co miały znaczyć, te obydwa manewry, jeżeli statku nie użyto do jakiejś wyprawy.

— Czyżbyśmy jednak nie spostrzegli w takim razie „Bonawenturę“ przepływającego przed wyspą? — zauważył korespondent, skupiający wszystkie możliwe punkta wątpliwości.

— Ech! Panie Spilett — odparł marynarz — wystarcza wypłynąć nocą z pomyślnym wiatrem, a w dwie godziny potem jest się już po za horyzontem wyspy!

— Zgoda — ciągnął dalej Gedeon Spilett — ale w takim razie pytam się jeszcze, w jakim celu tedy zbiegi użyli „Bonawentury“ i dla czego po użyciu, — odprowadzaliby go napowrót do portu?...

— Ha! panie Spilett — odparł marynarz, policzmy to do rzeczy niepodobnych do wyjaśnienia i nie myślmy już o tem. Najważniejszą było kwestją znaleźć „Bonawenturę“ na miejscu i znaleźliśmy go! Kto wie, czy gdyby teraz piraci dostali go w ręce po raz drugi — znalazłby się tutaj znowu!

— Może więc byłoby roztropniej, Pencroffie sprowadzić „Bonawenturę“ znowu przed Pałac Granitowy? — ozwał się Harbert.

— I tak i nie — odpowiedział Pencroff — a raczej stanowczo nie. Ujście Dziękczynnej jest złem stanowiskiem dla statku, morze tam nadto burzliwe.

— Gdybyśmy go jednak wciągnęli na piaski aż pod same „Dymniki“?...

— No tak.... to nie mówię... — odrzekł Pencroff. — W każdym razie jednak, ponieważ mamy opuścić Pałac Granitowy i to na czas dosyć długi, sądzę że „Bonawentura“ będzie tu bezpieczniejszym w czasie naszej nieobecności, i że dobrze zrobimy,] pozostawiając go w tem miejscu, aż do zupełnego oczyszczenia wyspy z tych łotrów.

*) Rodzaj węzła właściwego Pencroffowi i posiadającego tę wyższść, że nie tak rychło się zesuwał.

— Takie i moje zdanie — rzekł korespondent. — Przynajmniej, w złym razie nie będzie tak mocno porażony, jak byłby przy ujściu „Dziękczynnej.“

— Cóż jednak, jeżeli zbiegi nawidzą go raz jeszcze! — zauważył Harbert.

— Wiesz co, mój chłopcze — odpowiedział Pencroff. Gdyby nie znaleźli tutaj statku, poszliby go natychmiast szukać ku stronie Granitowego Pałacu, a w nieobecności naszej, nikt by im w zabraniu go nie przeszkodził!

— Sądzę więc zgodnie z p. Spilettem, że należy go zostawić w Porcie Balonowym. Jak tylko jednak wrócimy, a wyspa nie będzie jeszcze wolną od tych hultajów, najroztropniej będzie sprowadzić nasz statek aż pod Pałac Granitowy i zatrzymać go tam aż do chwili, gdy zniknie wszelka obawa zbrodniczych odwidzin.

— Zgoda. A teraz dalej w drogę, zakończył korespondent.

Powróciwszy do Granitowego Pałacu, Harbert, Pencroff i Gedeon Spilett, opowiedzieli inżynierowi wszystko co im się zdarzyło, a on pochwalił powzięte przez nich postanowienia tak na teraz jak i co do przyszłości. Przyrzekł nawet marynarzowi zbadać część kanału znajdującą się pomiędzy wysepką a wybrzeżem, dla zobaczenia, czy nie będzie można utworzyć w tem miejscu sztucznego portu za pomocą grobli. Tym sposobem „Bonawentura“ byłby wciąż pod ręką a w razie potrzeby i pod zamknięciem.

Tegoż samego wieczora wysłano telegram do Ayrtona z prośbą, aby sprowadził z zagrody parę kóz, które Nab zamierzał przyswoić na łąkach terasy. Rzecz dziwna jednak, od Ayrtona nie nadszedł znak otrzymania telegramu, wbrew przyjętemu przezeń obyczajowi. Zadziwiło to niepomału inżyniera. Mogło być jednak, że Ayrtona nie było w tej chwili w zagrodzie, albo że się znajdował w drodze do Pałacu Granitowego. To ostatnie przypuszczenie było tem możebniejsze, że właśnie upłynęły już dwa dni od jego odjazdu, a postanowiono, że ma powrócić o 10 w wieczór, lub najpóźniej 11 rano.

Osadnicy oczekiwali więc na pojawienie się Ayrtona na wyżynach Wielkiej Terasy. Nab i Harbert stanęli nawet w pobliżu mostu, ażeby go spuścić za przybyciem Ayrtona.

Ale o dziesiątej w wieczór, nie było o nim jeszcze ani słychu. Uznano tedy za stosowne wysłać nową depeszę, domagającą się natychmiastowej odpowiedzi.

Młotek elektryczny w Pałacu Granitowym ani drgnął.

Wówczas niepokój osadników dosięgnął wielkich rozmiarów. Coż się więc stało?

Czy Ayrton nie znajdował się już w zagrodzie, lub czy go pozbawiono swobody działania? Należałoż pospieszyć do zagrody mimo tak ciemnej nocy?

Poddano tę kwestję pod roztrząśnienie. Jedni chcieli wyruszać, drudzy radzili zostać.

— Kto wie — rzekł Harbert — może popsuł się przyrząd telegraficzny i dla tego nie funkcjonuje?

— To bardzo możebne — odparł korespondent.

— Czekajmy więc do jutra — ozwał się Cyrus Smith. Może w istocie Ayrton nie otrzymał naszej depeszy, albo też jego telegram nie doszedł do nas.

Zaczekali więc, jak łatwo pojąć, — nie bez pewnego niepokoju.

Za pierwszym blaskiem świtu, 11 listopada, Cyrus Smith puścił raz jeszcze prąd elektryczny po drucie — i nie otrzymał żadnej odpowiedzi powtórzył to samo po raz drugi — z tym samym skutkiem.

— W drogę do zagrody! — zawołał wówczas.

— I to w porządnem uzbrojeniu! dodał Pencroff.

Natychmiast postanowiono nie zostawić Pałacu Granitowego bez obrony, ale powierzyć straż jego Nabowi. Po odprowadzeniu towarzyszów aż do potoku Glicerynowego, miał zwieść most i zaczaiwszy się za drzewem oczekiwać na powrót ich lub Ayrtona.

W razie zaś, gdyby piraci się zjawili i próbowali przejścia, miał starać się o powstrzymanie ich wystrzałami, a wreszcie wycofać się do Granitowego Pałacu, gdzie po podniesieniu windy, byłby zupełnie bezpieczny.

Cyrus Smith zaś, Gedeon Spilett, Harbert i Pencroff mieli udać się prosto do zagrody, a gdyby tam Ayrtona nie było, poszukać go w okolicznych lasach.

O szóstej rano inżynier i jego trzej towarzysze przeszli potok Glicerynowy, zostawiając za sobą Naba ukrytego po za lekkiem zagięciem skał, ocienionych kilku wielkiemi smokownikami, na lewym brzegu strumienia.

Osadnicy, zszedłszy z Wielkiej Terasy, skierowali się prosto ku zagrodzie. Każdy z nich niósł strzelbę na ramieniu w pogotowiu do strzału, w razie jakiegokolwiek nieprzyjacielskiego objawu. Dwa karabiny i dwie strzelby nabito kulami.

Z obu stron drogi gęstwina była nieprzebyta i z łatwością służyć mogła za schronienie złoczyńcom, mogącym dzięki swemu uzbrojeniu być nader groźnymi.

Osadnicy postępowali szybko i w milczeniu, Top poprzedzał ich, jużto biegnąc po drodze, jużto skręcając w las, niemy jednak wciąż i nie zdający się przeczuwać nic niezwykłego. A można było liczyć na to, że wierny pies nie da się podejść i że zaszczeka w obec najmniejszego cienia niebezpieczeństwa.

Idąc drogą, osadnicy szli jednocześnie za drutem telegraficznym łączącym zagrodę z Pałacem Granitowym. Przebywszy mniej więcej dwie mile drogi, nie zauważyli jeszcze żadnej przerwy na linji. Słupy znajdowały się w dobrym stanie, odosobniacze były nienaruszone, drut regularnie wyprężony. Jednakże od tego punktu inżynier zauważył, że to wyprężenie stawało się coraz mniej równem, a gdy przybyli do słupa Nr. 74, Harbert wyprzedzający resztę, zatrzymał się z okrzykiem:

— Linja przerwana!

Towarzysze przyspieszyli kroku i wnet stanęli w miejscu, kędy młodzieniec się zatrzymał.

Wówczas ujrzeli słup wywrócony i leżący w poprzek drogi. Przerwa tedy na linji została stwierdzoną i widocznem się stało, iż depesze z Pałacu Granitowego nie mogły były dojść do zagrody, ani wysłane z zagrody do Pałacu.

— A jednak to nie wiatr wywrócił ten słup — zauważył Pencroff.

— O nie! — odrzekł Gedeon Spilett. Ktoś podkopał go od spodu, — widać w tem rękę ludzką.

— A co więcej drut jest zerwany — dodał Harbert pokazując dwa kawałki żelaznej nici, noszące na sobie ślady gwałtownego szarpnięcia.

— Czy zerwanie jest świeże? — zapytał Cyrus Smith.

— Tak jest — odrzekł Harbert — niewątpliwie stało się to bardzo niedawno.

— Do zagrody! do zagrody! — zawołał inżynier.

W tej chwili osadnicy znajdowali się na połowie drogi pomiędzy Pałacem Granitowym i zagrodą. Mieli więc tylko jeszcze dwie i pół mili do przebycia. Puścili się biegiem.

W istocie, należało się obawiać, że jakiś ważny wypadek wydarzył się w zagrodzie. Bez wątpienia Ayrton mógł wysłać telegram, który nie doszedł do celu i w tem nie było jeszcze dostatecznej przyczyny do niepokoju. Ale zjawiała się okoliczność bardziej zagadkowa: dla czego Ayrton przyobiecawszy się na wczoraj w wieczór, wcale się nie pokazał. Wreszcie i to nie mogło być bez powodu, że wszelka komunikacja pomiędzy zagrodą i Pałacem Granitowym była zerwaną — a któż inny mógł mieć w tem interes, jeżeli nie piraci?

Osadnicy pędzili więc, ze ściśniętem niespokojnością sercem. Przywiązali się szczerze do swego towarzysza. Mieliż go znaleźć ugodzonego ciosem tych, którym niegdyś przewodził?

Wkrótce przybyli do miejsca, w którem droga ciągnęła się wzdłuż owego maleńkiego strumyka, stanowiącego odpływ Czerwonego Potoku i skrapiającego łąki zagrody. Tu umiarkowali bieg, ażeby nie być bez tchu w chwili niezbędnej może i bliskiej walki. Broń trzymali odwiedzioną w rękach. Każdy baczną zwracał uwagę na las. Top wydawał głuche warczenie, nic dobrego nie wróżące.

Wreszcie pokazał się częstokół zagrody z pomiędzy drzew. Nigdzie nie było widać śladu jakichkolwiek spustoszeń. Brama stała zamknięta jak zwyczajnie. Głęboka cisza panowała w zagrodzie. Ani beczenie zwykłe baranów dzikich, ani głos Ayrtona nie dawały się słyszeć.

— Wejdźmy! — rzekł Cyrus Smith.

I to wyrzekłszy posunął się naprzód, podczas gdy towarzysze jego stanęli o dwadzieścia kroków w pogotowiu do strzału!

Cyrus Smith podniósł zasuwę wewnętrzną drzwi i chciał je otworzyć, gdy naraz Top wściekle zaszczekał. Po nad częstokołem zagrzmiał wystrzał — a wystrzałowi temu odpowiedział okrzyk boleści.

Harbert, ugodzony kulą, leżał na ziemi!...

(C. d. n.)

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(*Dokończenie.*)

Przed chwilą zdawało się, że zamięszanie panujące w zamku rymiszowskim nie mogło już być większem, ale teraz dopiero doszło ono do swojego punktu kulminacyjnego. Dr. Chimerski biegał z jednego kąta w drugi i żądał różnych rzeczy, których mu nikt nie podawał, wydawał polecenia, których nikt nie pełnił. P. Skryptowicz, Wacław, i panna Wanda usiłowali przywrócić Helenkę do przytomności, służba żeńska i męska straciła zupełnie głowę, włościanie zgromadzeni na dziedzińcu poczęli napełniać komnaty zamkowe, a na dworze piorun bił za piorunem, grad niesłychanej wielkości tłukł w szyby i wicher łamał z łoskotem największe drzewa, jakby cienkie patyczki. Wśród tego wszystkiego rozległ się głos dzwonka kościelnego, i pojawił się ks. Chyżycki w komży i stule, z sakramentami.

— Nie, księże proboszczu, nie, nie teraz przynajmniej! — zawołał doktor robiąc gest ręką. Helenka tymczasem otworzyła była oczy i uchwyciła za rękę Wacława, który klęczał koło niej, bledszy niż ona.

— On żyje, nieprawdaż? — zapytała półgłosem.

— Żyje, żyje, powtórzył lekarz, i podczas gdy ksiądz wychodził do drugiego pokoju, dr. Chimerski dodał stanowczym głosem, patrząc w koło:

— Żyje, i — moi państwo — tu nie ma otrucia! Jest to, a raczej był, silny atak astmy, zwanej *angina pectoris*. Bezprzytomność w takich razach połączona jest z chwilowem ustaniem oddechu i tętna, i to zapewne wystarczało panu Feilesowi do skonstatowania śmierci. Obecnie, jak zawsze po takich atakach, nastąpiła śpiączka, która potrwa kilka godzin. Chory przedewszystkiem potrzebuje spokoju. O otruciu, powtarzam raz jeszcze, nie ma ani mowy.

— Ale co znaczy zachowanie się Heleny, i gdzie ona jest? — zagadnął p. Karol.

Zaczęto jej szukać w całym zamku, ale nie było jej nigdzie. Nikt nie widział, którędy poszła. Wśród tych poszukiwań, w jednym z najciemniejszych i najodleglejszych zakątków, natrafił pan Skryptowicz na pana Alfreda, wybladłego i drżącego.

— A tuś mi, ptaszku! — zawołał, biorąc go za rękę — nie ujdziesz mi teraz! — Z temi słowami p. Karol pociągnął za sobą panicza, nie stawiącego najmniejszego oporu, wyprowadził go na schody i wtrąciwszy go do pokoju znajdującego się na pierwszem piętrze narożnej baszty, zamknął za nim drzwi, schował klucz do kieszeni i wrócił na dół. Tu tymczasem Wacław, pomówiwszy kilka słów po cichu z Helenką, wziął był doktora pod ramię i zaprowadził go na werandę, gdzie stały jeszcze nietknięte przybory do kawy. Wacław wskazał ręką kawałek cukru, leżący na tacy obok filiżanki p. Tadeusza, i powiedział:

— P. Zamecki wyjął to ze swojej filiżanki, nim mu panna Wanda nalała do niej kawy. Pani Zamecka kładła sama cukier do filiżanek, i oddaliła się była potem na chwilę, ale panna Helena nie spuszczała oka ze swojego opiekuna, i widziała dokładnie, jak wyjmował cukier.

Doktor nachylił się nad tacą i przypatrywał się uważnie cukrowi, posuwając go trzonkiem od łyżeczki.

— Tu są dwa kawałki — rzekł. — To jest cukier, ale to — dodał, pokazując Wacławowi odrobinę nieco większą od ziarnka grochu, na pierwszy rzut oka dość podobną do cukru — to musimy zbadać!

Posłaniec konny, wysłany do Korytnicy, powrócił szybko i przywiózł ingredjencje, których doktor zażądał z apteki. Wacław chciał natychmiast przystąpić do ich użycia, ale p. Skryptowicz, jako prawnik, założył veto przeciw temu.

— To nie należy do nas, ale do sądu. Straciliśmy już i tak dużo czasu; mojem zdaniem, powinniśmy natychmiast zażądać komisji sądowej.

— Masz pan słuszność — odparł lekarz — ale czy nie uważasz pan za stosowne, zostawić to p. Zameckiemu? Niezadługo, za godzinę może,

przyjdzie on zupełnie do siebie i będzie się miał, jak zwykle. Opowiemy mu, co się stało....

— Co mu opowiemy? Chyba to, że główna sprawczyni umknęła! Dobrze, że przynajmniej zamknąłem jej pomocnika. Przyznam się, że wolałbym widzieć go w rękach sprawiedliwości, nim się Tadeusz przebudzi. On gotów puścić im wszystko płazem. Czy go pan nie znasz?

— W tym wypadku, panie Karolu, przyjaciel nasz mojem zdaniem postąpi najlepiej, jeżeli pójdzie za jednym ze zwykłych swoich wspaniałomyślnych popędów. Wyobraź pan sobie, jakiemby było jego położenie wobec procesu, któryby nastąpić musiał, gdyby sąd dowiedział się o tem wszystkiem, co my wiemy. Kto wie, mówił dalej doktor, mocno zamyślony — kto wie, czy nie postąpilibyśmy najwłasciwiej, oszczędzając tej wiadomości samemu nawet p. Tadeuszowi. Ponieważ zamach nie udał się, możesz pan jeszcze zawsze postąpić tak, jakbyś pan był postąpił, gdybyśmy byli przyjechali o godzinę wcześniej.

— Hm, ależ jej nie ma. Miałem zamiar ostrzedz ją, że zamiary jej są odkryte, i zmusić ją tym sposobem do dobrowolnego rozstania się z mężem, którego życiu zagrażała. Mogła to uczynić pod jakimkolwiek pozorem. Teraz zaś, co mu powiemy? Dla czego uciekła w chwili, gdy począł dawać znaki życia? I gdzie ona mogła uciec, pieszo, wśród takiej burzy!

— Przypomnij pan sobie, jakie na nas zrobiła wrażenie, gdyśmy ją ujrzeli w drzwiach pokoju, w którym leżał p. Tadeusz. Wydała mi się obłąkaną, a im bardziej zastanawiam się nad wszystkiem, co tu zaszło, tem naturalniejszem wydaje mi się to, że ona jest obłąkaną, że nią być musi. Jeżeli nosiła się z tak okropnym zamiarem, jeżeli wykonała go i wierzyła, że jej się udało wykonanie, jeżeli zbliżyła się do mniemanego trupa, ażeby wziąć klucze, które miała w ręku, gdyśmy ją widzieli, i jeżeli ten trup westchnął albo poruszył się, to mogła nawet umrzeć na miejscu, a nietylko wpaść w obłąkanie. Tego rodzaju niespodzianki zdolne są wstrząść organizm najobojętniejszy, w sposób bardzo niebezpieczny. Znasz pan może historję o lekarzu, który umarł z przestrachu, ponieważ w pracowni anatomicznej opadła wskutek działania ciepła i uderzyła go skostniała ręka człowieka, który umarł był na mrozie i miał być sekcjonowanym? Powiemy p. Tadeuszowi, że go miano za umarłego, i że wypadek ten spowodował obłąkanie jego żony, która wybiegła z zamku wśród zamięszania i dotychczas nie mogła być odszukaną.

P. Skryptowicz przystał na to po niejakim namyśle, i uradzono, że doktor pójdzie czuwać przy chorym, podczas gdy Wacław zbada chemicznie przedmiot, znaleziony na tacy obok filiżanki p. Zameckiego, a p. Skryptowicz w towarzystwie proboszcza przesłucha p. Zgorzelskiego i zmusi go do zeznań wyjaśniających całą sprawę. Gdy dr. Chimerski powrócił z wiadomością, że p. Tadeusz przyszedł już do siebie, że pierwszem jego pytaniem było, gdzie jest jego żona, i że potrzeba mu dać odpowiedź z góry ułożoną, Wacław i p. Karol ukończyli już byli swoje badania. Roczyn poddany działaniu siarkanu żelaza i ługu potażowego, a następnie przesycony kwasem chlorowodowym okazywał osad niebieski, niezawodny znak obecności kwasu sinowodowego. Ingredjencja znaleziona na tacy była tedy niewątpliwie sinkiem potasu. Dowód ten wszakże był drobnostką wobec zeznań, które poczynił był p. Alfred, padając do nóg p. Karolowi i ks. Chyżyckiemu i błagając o litość. P. Karol skorzystał tak zręcznie z wiadomości udzielonych mu przez Helenkę, że Zgorzelski przerażony nietylko nie przeczył niczemu ale przyznał się jeszcze także do fałszowania weksli i do podpalenia gumna. O tem, co się stało z panią Zamecką, nie mógł wszakże nic powiedzieć, bo od chwili zemdlenia p. Zameckiego przestrach odjął mu był wszelką przytomność i nie wiedział, co się działo koło niego. P. Karol wychodząc z proboszczem, zamknął go znowu na klucz, robiąc mu nadzieję, że nazajutrz odstawiony będzie do kryminału. W tej chwili rozległ się na korytarzu krzyk kobiecy, przeraźliwy, i p. Skryptowicz w panujących tam ciemnościach uczuł że coś go chwyta za kolana. Odskoczył szybko i zawołał:

– Kto to?

— Litości, panie, litości! Wszak on nie jest głównym winowajcą, wszak słyszałeś pan, że ona winna wszystkiemu! Litości, ja go tak kocham!

Teraz dopiero, po głosie, poznał p. Karol, kto go tak zaskoczył z nienacka. Była to panna Wanda, na którą dotychczas nikt nie zważał, a która spostrzegłszy, że zanosi się na coś nie dobrego dla jej Alfreda, słuchała całej indagacji pod drzwiami. P. Karol wiedział o stosunku między nią a Alfredem, i oniemiał ze zdziwienia, iż po odkryciach, których była świadkiem, mogła jeszcze wstawiać się za niewiernym i niegodnym. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, zbiegł szybko po schodach, i znalazł się przed drzwiami wiodącemi do pokojów p. Tadeusza w tej samej chwili, w której z jednej strony doktor Chimerski chciał iść po niego na górę, a z drugiej strony p. Zamecki, zdziwiony obecnością lekarza, o którym mniemał, że jest w drodze do Wiednia, i jeszcze bardziej zdziwiony tem, że nie otrzymał odpowiedzi na swoje zapytanie co do pani Heleny, wbrew poleceniom i naleganiom doktora wstał i szedł sam zobaczyć, co się działo w jego domu. Na widok p. Karola, p. Tadeusz odstąpił o krok, i miał właśnie z jowialnym uśmiechem na twarzy zawołać: Wszelki duch! kiedy rzuciła mu się do nóg panna Wanda, łkając i łamiąc ręce.

Od tej chwili, wszystkie poprzednie narady dr. Chimerskiego i p. Skryptowicza były straconemi. Z niejasnych słów i rozpaczliwych zaklęć Wandy, p. Tadeusz dowiedział się tyle, że nie podobna było taić przed nim właściwego stanu rzeczy. Opowiedziano mu tedy wszystko, pomimo obaw lekarza, ażeby gwałtowne wzruszenie nie wywołało drugiego napadu astmy. Obawy te na szczęście okazały się płonnemi. P. Tadeusz słuchał z uwagą, co mu mówiono, najpierw o domysłach i podejrzeniach Helenki, potem o okolicznościach które towarzyszyły mniemanej jego śmierci, a nakoniec, o zeznaniach p. Alfreda i o szczęśliwym trafie, dzięki któremu uszedł otruciu. Zadał opowiadającym kilka pytań, dla usunięcia powątpiewań, które mu się nasuwały. Gdy już wiedział wszystko, i o niczem wątpić nie mógł, zasłonił twarz rękami, i rozpłakał się jak małe dziecko. Ani doktor, ani proboszcz, ani p. Skryptowicz nie mogli oprzeć się wzruszeniu, które ich opanowało. Jednem słowem, cały klub pozytywistów rymiszowskich stał w kółku i szlochał w zawody z panną Wandą. Ani jedno słowo żalu albo wyrzutu nie wyszło z ust p. Tadeusza. Wszystko co czuł, znalazło swój wyrzut w łzach, które wylewał. Płynęły one obficie i długo, nim nakoniec zapytał stłumionym głosem:

— Gdzież jest Helenka?

Doktor wskazał w milczeniu na drzwi salonu, dokąd wszyscy weszli za p. Tadeuszem. Na jego widok, Helenka przybiegła i poczęła go całować w rękę, tuląc mu się do piersi.

— Biedne, biedne dziecko! zawołał p. Zamecki wybuchając na nowo płaczem. Z obecnych, tylko p. Karol i dr. Chimerski zrozumieli ten wykrzyk i pojęli, ile w nim było wielkiego, niesamolubnego uczucia. Człowiek, który tracił ostatnie swoje złudzenia na tym świecie, płakał nad dzieckiem, które nigdy nie miało mieć matki.

Była już pierwsza po północy, gdy proboszcz wraz z Wacławem odeszli, obiecawszy przyjść nazajutrz rano. O pani Helenie nie było żadnej wieści, szukała jej służba, rozesłana na wszystkie strony. Co się tyczy Alfreda, panna Wanda oniemielona wrażeniem, jakie sprawiło na p. Tadeuszu opowiadanie wypadków, których byliśmy świadkami, nie odważyła się wspominać o nim więcej. Dopiero gdy miano się rozchodzić po długiem, głuchem milczeniu, przerywanem tylko raportami, że w tej albo w owej stronie nie zdołano znaleść „jasnej pani“ — p. Karol nadmienił, że zamknął p. Zgorzelskiego na górze.

— Niech jedzie natychmiast, były słowa p. Tadeusza. Niechaj ucieka. J..... bądź tak dobrym, Karolu, daj mu to na drogę, ale nie mów o nim więcej.

Był to banknot na znaczną sumę, bez której p. Alfred nie mógłby był uciec daleko. P. Karol wyłuszczył mu potrzebę ucieczki tak dobitnie, że od tej pory nie słyszano o nim więcej w tych stronach.

Nad ranem, przyszła najpierw dziwaczna wiadomość, że budnikowi kolei żelaznej, przerzynającej lasy p. Zameckiego, pojawił się w nocy duch, w chwili gdy zwidzał przestrzeń szyn, poruczoną jego opiece. Była to postać w bieli, która według twierdzeń budnika, potrząsała łańcuchami i jęczała okropnie. Przeszła przez szyny i znikła w lesie. W pół godziny później, pobereżnik (borowy) przybył i dał znać, że pani hrabina jest u niego w chacie, ale niech ręka boska broni, jak wygląda i co mówi. Dr. Chimerski udał się tam natychmiast, w towarzystwie sług pani Zameckiej. Było aż nadto widocznem, że obłąkana przepędziła noc w lesie, póki jej nie spostrzegła żona pobereżnika i upadającą na siłach nie przyprowadziła do swojej chaty. Ubogie to było schronienie, ale nie tak ubogie i smutne jak chata Pyłypychy w Gródeczku, w której Helenka przepędziła dziecięce swoje lata. Chora była w malignie, i według twierdzenia dr. Chimerskiego nie mogła żyć długo. O przewiezieniu jej do zamku nie mogło być mowy, chata leżała bowiem wśród nieprzystępnych bezdroży, a cierpienia fizyczne obłąkanej, do których przyłączył się był ostry reumatyzm w skutek zziębnięcia i błądzenia wśród ulewy, były okropne. Umarła nazajutrz, spowiadając się w gorączce ze swoich czynów. Prości ludzie, którzy ją otaczali, oniemieli z przerażenia, doktor i ksiądz nie mogli wspomnieć bez dreszczu o scenach, których byli świadkami.

P. Tadeusz wyjechał nazajutrz po zdarzeniach, opowiedzianych w tym rozdziale naszej powieści, wraz z p. Karolem, Helenką, i panną Wandą. Ale nim odjechał, miał krótką rozmowę z Wacławem, w cztery oczy.

— Pan kochasz Helenkę, czy tak?

Wacław nie chciał dać odpowiedzi, ale odpowiedział za niego rumieniec, który mu twarz oblał.

— Kochasz ją pan, i ona pana kocha. Po-

*

winniście się pobrać, skoro nie dzieli was żadna przeszkoda.

— Owszem... dzieli nas...

— Znam pańskie skrupuły. Chcesz pan powiedzieć, że dzieli nas majątek i urodzenie. Jesteś pan w błędzie. Helenka nie ma własnego majątku. Będzie go miała odemnie, ale to nie powinno być powodem, ażeby zaraz na wstępie w życie czuła się nieszczęśliwą. Co się tyczy jej urodzenia, musisz pan wiedzieć, że matka jej kona właśnie w takiej chacie, w jakiej ją wychowała, a ojciec... ojciec, spodziewam się, uciekł daleko. Mówię to panu, ponieważ wiem, że z pańskich ust ona nigdy nie dowie się o tem.

— Nigdy! odparł Wacław zdumiony.

— A więc, czy masz pan jeszcze co do zarzucenia tej sierocie? Czy może nie kochasz jej pan szczerze?

— Nie szczerze! Kocham ją... kocham nad wszelki wyraz.

— No, i poco to tyle ceregielów? Helenko, zawołał p. Tadeusz, otwierając drzwi do drugiego pokoju. Helenko! Pan Roliński powiada, że kocha cię bardzo, i pyta się, czy chcesz pójść za niego? To mówiąc, wprowadził ją za rękę do pokoju, i pastwił się przez chwilę nad zakłopotaną swojem szczęściem parą. Nadszedł i p. Karol, a spostrzegłszy, co się stało, zawołał:

— Ach, Bogu dzięki, teraz już będę miał znowu spokój w domu! Wszystkie te afekta, i łzy, i wzruszenia, to męczarnie dla nas, ludzi pozytywnych.

— Doktorze, zapytał p. Tadeusz wchodzącego p. Chimerskiego, my j e s t e ś m y ludźmi pozytywnymi, nieprawdaż?

— O... okropnie! odparł doktor, nieco zambarasowany.

— Nie łudzimy się nigdy, i bierzemy rzeczy tak jak są?

— Ej, nie mówmy o tem. Coś się popsuło w moich pojęciach o różnicy między pozytywistami a idealistami.

— I w moich także, niestety, rzekł p. Tadeusz.

— I w moich! zawtórował p. Karol.

Tego samego lata jeszcze, ks. Chyżycki, który rzadko wyjeżdżał, musiał udać się do miasta, ażeby dać ślub młodej parze. Państwo Rolińscy mieszkają z p. Zameckim w Rymiszowie, gdzie Wacław pozakładał kilka fabryk, któremi zajmuje się gorliwie. Posiedzenia klubu pozytywistów odbywają się jak zwykle, ale od czasu jak odkryto dziennik śp. pani Heleny, nikt nie mówi już o pozytywistach, ani o idealistach. Pani Podwalska przyszła do zdrowia pod opieką lekarzy, i p. Zamecki pamięta o jej potrzebach. Panna Wanda płakała długo i wypłakała sobie zmarszczki w twarzy, z któremi pojął ją w małżeństwo poeta *Przeglądu Codziennego*, dowiedziawszy się od pani Trzecieszczakiewiczowej, że Wandziunia ma 20.000 posagu z łaski tej nieodżałowanej Heleny Zameckiej, którą bezbożny mąż wtrącił do grobu swoją złością szatańską. Wszak wyjechał z domu w chwili gdy konała, i dał jej umrzeć w chałupie chłopskiej, bo ją wypędził z zamku, ten zbrodniarz, nie godzien, aby go święta ziemia nosiła! Najgorzej wyszedł na tej katastrofie p. Dornbusch, bo spostrzegłszy czem pachnie jego weksel, pozbył go się za małą stosunkowo kwotę, którą mu wypłacił adwokat p. Zameckiego. Co się tyczy p. Zgorzelskiego, ten po kilkoletnim pobycie za granicą powrócił do kraju, rozpoczął na nowo negocjacje finansowe podobne do tych, jakie już mieliśmy sposobność widzieć, i w chwili gdy chciał znowu wyjeżdżać, zabrany został z wieczorka u p. Mizerkowej przez kilku źle wychowanych ichmościów, którzy go dotychczas jeszcze otaczają swoją brutalną opieką. P. Skryptowicz nakoniec— a, zaraz! Mamy dziś ponoś czwartek, nieprawdaż? Jest tedy nadzieja, że w sobotę około południa p. Skryptowicz zbudzi się i opowie sam co porabia.

K O N I E C.

Piśmiennictwo zagraniczne.

Dr. Richard Roepell Polen um die Mitte des XVIII. Jahrhunderts, Gotha 1876. — Ciąg dalszy.)

Jeżeli autorem powyżej zacytowanej broszury jest rzeczywiście hr. Poniatowski, to przyznać trzeba, że „familja“ po lepszych drogach chciała prowadzić naród — za sobą. Proponowana przez nią w tym traktacie reforma byłaby uleczyła wiele stron rozpadającego się organizmu. Przystrzydz butne szlacheckie czuby, pod któremi zużyte i nadużyte prawo nieograniczonej swobody pieniło się tylko zachciankami fatalnej swawoli, zaprowadzić i uorganizować stałe wojsko, powiększyć dochody państwa, ograniczyć mnożenie się fanatycznego rodzaju,—były to bezwątpienia pierwszorzędne środki narodowego ratunku.

Tymczasem antagonizm między polityką Czartoryskich a Potockich wypadki coraz bardziej zaostrzały. Ci ostatni w obu swych linjach — srebrnej i złotej — przewyższali swych przeciwników zarówno stosunkami jak zamożnością. Czartoryskich popierał dwór, Potockich popularność u średniej i niższej szlachty. Pierwsi nie kryjąc się z upodobaniem do francuzczyzny, wyraźnie gardzili staropolskiemi zwyczajami i strojem, drudzy trzymali się wiernie tradycji, szanowali „panów braci,“ dawali im nawet swoje córki za żony i przestrzegali „starosarmackie“ cnoty. Między ich sprzymierzeńcami odznaczali się szczególniej Lubomirski, wojewoda krakowski i dwaj Tarłowie — wuj, wojewoda sandomirski i siostrzeniec — lubelski. Ostatni, Adam — młody, piękny, ognisty dał się poznać przy drugim wyborze Leszczyńskiego, jako jego stronnik i najwytrwalszy obrońca. Pogodziwszy się z Augustem III, który go obdarzył województwem, stał się półbogiem drobnej szlachty. Zimą r. 1744 bawił w Warszawie. Ożeniony z kobietą daleko od siebie starszą, rozgorzał gwałtowną miłością do młodej i pięknej córki wojewody krakowskiego, który jej matkę porwał mężowi, pewnemu krakowskiemu obywatelowi. Na balu u marszałka koronnego tańczył on z nią naprzód a potem zaprosił córkę starego Poniatowskiego. Ale ta — podobno podbudzona przez matkę — odmówiła: „Tańcz Waszmość z tą, z którą przez cały wieczór tańczyłeś.“ Popędliwy Tarło odwrócił się i zawołał głośno: „Hultaj, kto tańczyć będzie z córką wojewody mazowieckiego,“ a gdy jej najstarszy brat Kazimierz natychmiast wystąpił z nią do koła, krzyknął; „Jesteś więc hultajem!“ Na drugi dzień odbył się między nimi pojedynek na koniach. Gdy Tarło dosięgnął konia przeciwnika i zwalił Poniatowskiego, ten miał ze strachu zawołać: „Kocham wojewodę.“ Za pojedynkiem nastąpiły paskwile a potem nowe wyzwanie ze strony Tarły. Kanclerz koronny Załuski wzbronił pojedynku, sąd duchowny w Warszawie zagroził nieposłusznym ekskomunikacją, wszystko to jednakże było daremnem. 16 marca 1744 r. przyszło do spotkania w Marymoncie pod Warszawą. Tłumy, bo nawet wychowańcy szkół jezuickich pospieszyli przypatrzeć się walce. Poniatowski przybył z wielkim orszakiem, Tarło z kilkoma przyjaciołmi. Dwakroć strzelali do siebie bez skutku. Nareszcie chwycili za szpady. Po kilku uderzeniach Tarło otrzymawszy pchnięcie w serce padł z wykrzykiem: „O mon Dieu!“ i skonał. Jedni twierdzili, że w przystępie namiętności sam się nadstawił na cios, inni że sekundant Poniatowskiego, major Korff, znienacka go przebił. — Śmierć Tarły wywarła wielkie wrażenie w całej Rzeczypospolitej i wzburzyła opinję przeciwko „familji.“ Ta jednakże nie ulękła się ogólnej niechęci a nawet wytoczyła proces stronnikom Tarły za paskwile, który przy pomocy Brühla wypadł dla niej szczęśliwie. Król znowu nagrodził młodego Poniatowskiego orderem białego orła.

Całe to jednakże zajście silnie zachwiało sytuacją i wpływami „familji“ Pierwszy napad burzy zdołała ona szczęśliwie przetrwać. Aż do ostatnich czasów liberum veto lub niepodpisanie uchwały sejmu było prawnym i najskuteczniejszym środkiem unicestwienia jego działań. Sejm z r. 1746, na którym Potoccy usiłowali przeprowadzić kandydaturę jednego ze swoich stronników na marszałka, rozszedł się bezowocnie, gdyż jak przyszło wieczorem do podpisania uchwały, jej przeciwnicy nie pozwalali wnieść światła do sali. Podczas gdy jedni je zapalali, drudzy gasili. Napróżno król z senatem czekał na rezultat do godziny 10ej; sejm — jak powiada współczesny tego zdarzenia świadek — „nie został zerwany, ani ukończony, lecz zgasł.“ Toż samo mniej więcej działo się r. 1748, wśród daremnych napominań wojewody płockiego, Mikołaja Podoskiego, który patrząc na bezmyślną anarchję powtórzył przed senatem starą groźbę: *Venit summa dies et invitabile fatum.* Jeszcze gwałtowniej wybuchła walka stronnictw z racji trybunałów a najcharakterystyczniejszy jej przykład przedstawiają zabiegi Brühla. Jako cudzoziemiec nie mógł on w Rzeczypospolitej ani zajmować urzędu ani posiadać nieruchomego mienia; starał się więc wszelkiemi sposobami pozyskać indygenat. Taką jednakże godność nadawały tylko sejmy a tymczasem w owej porze żaden z nich nie przychodził do skutku. Minister postanowił inną drogę dojść do tego celu, ku czemu — jak wieść niesie — Czartoryscy ofiarowali mu swą pomoc. W województwie poznańskiem znajdowała się wieś Brylewo, należąca do niejakiego Granowskiego. Sfabrykowano więc dokument, na mocy którego owa majętność przed 300 laty miała być w posiadaniu hrabiów Brylów. Adwokaci trybunału ułożyli natychmiast odpowiednią genealogję i wywiedli z niej bez przeszkody Brühla. Na zasadzie tego dokumentu syn ministra wystąpił z żądaniem zwrotu dziedzicznej wsi i uzyskał przychylny wyrok trybunału. Granowskiego uspokojono sowitem wynagrodzeniem, Brühl zaś otrzymał polskie szlachectwo ze wszystkiemi jego prawami i nabył dla siebie i syna swego starostwa. (Dok. n.)

Kronika paryska.

Paryż — Luty 1876 r.

(Dokończenie).

Nadzwyczaj zabawną i pod rubrykę karnawałową łatwo podciągnąć się dającą rzeczą będzie wi-

dzi nam się następna pogłoska, którą temi dniami angielskie a za niemi i francuskie liberalne powtórzyły dzienniki.

Rozumie się że za jej autentyczności nie ręczymy wcale, być może bowiem że w końcu pokaże się żartobliwym konceptem dowcipnisia gazeciarskiego.

Poprzestaniem na zacytowaniu źródeł z których zaczerpnąć ją nam się udało. Są niemi angielski *The Daily News*, i francuskie dzienniki *L' opinion Nationale* i *Le bien public*.

A w każdym razie *Se non e vero, e ben trovato*. Wiadomo, iż ksiądz Dupanloup, biskup Orleański, oddawna już w Rzymie względem kanonizacji Joanny d' Arc, zbawczyni Francji, potrzebne czyni zachody i tron papieski usilnemi o kanonizację ową oblega petycjami. Otóż, według zacytowanych dzienników, niefortunny biskup miał niedawno z Rzymu zupełnie lub prawie odmowną na prośby swoje otrzymać odpowiedź.

Odmowną! Dla czego?

Dla tego łaskawi, (radzę wam przedsięwziąć pewne środki ostrożności, byście się nie pochorowali od śmiechu) dla tego, iż kanonizacja owa mogłaby obrazić Anglję, o względy której (wiadomo iż propaganda katolicka na wyspach Brytańskich coraz szersze robi postępy) tron papieski obecnie w nadzwyczajny dba sposób.

Jak wam się podoba ów Raj Boży, siedlisko i nagroda zasłużonych a wybranych, który zamyka się przed tak jasną, tak wzniosłą jak Joanna d' Arc postacią z obawy by się nań protestantcy nie rozgniewali John Bull'e?

A na tem jeszcze nie koniec.

Kanonizacja Joanny d' Arc (tak brzmi dalej odpowiedź z Rzymu) możebną byłaby tylko wtedy, gdyby dla ułagodzenia Anglji, udało się przeprowadzić obok niej inną, mianowicie kanonizację Marji Stuart, która jako królowa katolicka i męczenniczka a protestanckiej Elżbiety zgładzona wolą, aż nadto według pojęć rrzymskich zasługuje na honory świętości.

Marja Stuart, silnie podejrzywana o uczestnictwo przynajmniej bierne w zabójstwie męża Henryka Darnley, Marja Stuart kokietka, kochanków licząca tuzinami, Marja Stuart błogosławionych ozdobiona koroną! Nie jest że to arcydziełem?

A kiedyż zatem kanonizacja Krystyny Szwedzkiej, Katarzyny Moskiewskiej?

Czego tu krzyczeć na wolno myślicieli, niedowiarków, ateuszów, że podkopują moralne znaczenie kościoła? Kościoł największego, najniebezpieczniejszego wroga ma w tych właśnie, którzy losami jego kierują na ziemi.

Jakaż gdzie ateuszowska propaganda mogłaby mu chcąc gorszą przypiąć łatkę?

Powtarzamy raz jeszcze, że nie ręcząc wcale za autentyczność przytoczonej pogłoski, możemy jednak wnioskować i to nie narażając się zbytecznie, iż wielkie do tej ostatniej ma podobieństwo. Zacytowane dzienniki, powtórzyły ją serjo. Dla czegoż więc mamy być od nich wybredniejszymi? A w każdym razie *se non e vero e ben trovato*.

Mylnie byliśmy poinformowanemi, donosząc wam w przeszłym naszym liście, jakoby autorem komedji „Les Danischeff“ którą Teatr „Odéon“ z wielkiem przedstawia powodzeniem, był emigrant, Polak, Krasowski z nazwiska. Autorem tym pod Piotr Newsky ukrytym pseudonymem, jest pan Korwin Krokowskoj oficer wojsk rossyjskich i mąż pani Stella Colas, dość wziętej tu i znanej niegdyś aktorki „Teatru Francuskiego.“

Utwór ten „Les Danischeff“ choćby ze względu na wielki swój sukces, choćby ze względu na kolaborację w nim Dumas'a, na detaliczne zasługuje sprawozdanie, i jeśli wam takowego nie posyłamy to dla tego jedynie, iż jeden z literatów naszych, Paryż zamieszkujących, obszerny krytyczny o tej sztuce napisał artykuł i zjawi się z nim wkrótce przed redakcją „Tygodnia“ o gościnne prosząc przyjęcie. Nie chcąc zatem kłaść dwóch grzybów w barszcz, jak stare polskie mówi przysłowie, sąd nasz osobisty zupełnie zresztą zgodny z sądem krytyka, którego czytać będziecie, odkładamy na stronę i list niniejszy drobnemi dopełniamy nowinkami. W liczbie tych ostatnich niepośledne miejsce zajmie smutna wiadomość o śmierci Fryderyka Lemaitre, znakomitego francuskiego artysty dramatycznego.

Rzeczywiście talent to był nie naszych czasów, i młode pokolenie wielbiło go jeśli tak rzec można „na kredyt“ wierząc temu, co o dawniejszych artysty tryumfach posiwieli opowiadali mu staruszkowie. Schrypły bowiem od wieku głos, nadwątlone zdrowie, nie pozwalały artyście jak tylko bardzo rzadko i w bardzo wyjątkowych występować rolach. Widzieliśmy go po raz ostatni przed pięciu czy sześciu laty w „Ambigu-Comique“ w sztuce Leona Beausalet pod tytułem „Le crime de Faverne“, jak tam grał rolę starca obłąkanego boleścią. Wyrazisty, udatny giest, to wszystko, co z dawnych artystycznych przechował zasobów. Przygasłe oczy, skostniała starością twarz już żadnego w grze brać nie mogły udziału, i słuchacze musieli bardzo natężać ucho, by dosłyszeć choć połowę z wypowiadanych przez artystę rzeczy. Zrozumiecie więc łatwo, że z tych szczątków o całości żadnych nie wywodząc wniosków, musieliśmy uczynić jak czynią inni, i przyklasnąć nie rzeczywistości a tylko wspomnieniom. Wirginja Dejazét niedawno, Fryderyk Lemaitre teraz, dwie współczesne sobie sławy, razem prawie położyły się do grobu. Pokój ich popiołom!

Cóż dalej?

Kandydatura senatorska hr. Ksawerego Branickiego nie powiodła się zupełnie. Bonapartystowskie wyznanie wiary z jakiem stawił się przed wyborczem kolegjum, nie pomogło mu wcale. Policzy się mu to w Chislehurst może, ale czy gdzieindziej wątpimy. Licha wygrana.

Pan Franciszek Coppée, znany poeta, po dość długiem milczeniu z nowym i dość bogatym literackim wystąpił pakunkiem. Tomowy poemat pod tytułem „Olivier“ i historyczny dramat z czasów Ludwika XIV i odwołania edyktu Nantejskiego pod tytułem: „Le Psautier“ (Psalterz) na księgarskich zjawiły się półkach. W jednym więc z przyszłych listów obszerne z tych dwóch nowości literackich poszlemy wam sprawozdanie. Cóż nareszcie?

A, panu Krystynowi Ostrowskiemu udało się przecie jeden z swych utworów na teatralne tutejsze postawić deski. Teatr „De la porte St. Martin“ w tak zwanych „Porankach dramatycznych“ (Les matinées dramatiques) odegrał historyczną tragedję jego pod tytułem: „Jean III Sobieski ou le siége de Vienne.“ Nic wam więcej o tem nie powiem, o Ryczywole bowiem, jak ksiądz biskup Warmiński zamilczeć wolę.

I do przyszłego listu

J. S. Chamiec.

POGADANKI.

XI.

„Nie pokazuj paluszka, bo zażąda całej ręki“ — radzi doświadczona kobieta młodej swojej przyjaciółce — „Nie zrywaj się do roboty, bo wszystką na ciebie zwalą!“—przestrzega doświadczony biurokrata gołowąsego praktykanta, który pierwszy raz wszedł do biura — „Tylko nie za wiele gorliwości!“ — radził swoim kolegom rutynowany dyplomata, a mimo tylu głosów i ze stron tak poważnych, jestem podobny do konia (chętnie robię to porównanie), który przyprzężony na biczysku, chce pokazać poważnym paradjerom czego on sam nie dokaże, to też ciągnie i ciągnie, a paradjery spoglądając nań z ukosa śmieją się w najlepsze i ani im w głowie siły wytężać. *Ah! tu l' as voulu George Dandin!* trzeba chyba zawołać z poczciwym Molierem i znowu pisać pogadankę.

A czy może być inaczej? Karnawał kończył się tak szybko, że nie wszyscy mieliśmy czas pisać — a post znowu rozpoczął się tak prędko, że samo nad nim rozpamiętywanie zajmuje nam od środy popielcowej po kilkanaście godzin dziennie... Posypaliśmy głowę popiołem, śpiewamy gorzkie żale i... i to niech wystarczy.

Co do karnawału, to o ile mi się zdaje, od bardzo już dawna nie był żaden tak wesołym jak tegoroczny. Mimo nędzy w całym kraju i bankructw codziennych, bawiliśmy się wybornie, kupowali drogie suknie naszym żonom i córkom, spijaliśmy szampana, a nawet drożej jak zwykle graliśmy w djabełka. Podczas karnawału tegorocznego, cudzoziemcy, którzy przypadkiem zajrzeli do naszej prowincji, wyjeżdżali najmocniej przekonani, że pod słońcem nie ma szczęśliwszego narodu, jak potulny narodek galicyjski. Lecz czy tylko ta zabawa nie była objawem schorowanego organizmu, czy walcując z pięknemi paniami i wznosząc liczne toasty, nie chcieliśmy przypadkiem zabić robaka, który nas toczy? Wszak wiemy, że przed r. 1830 i 1862 szalano w Warszawie, a w przeddzień katastrofy w r. 1846 hulano w Galicji jak nigdy przedtem!

Trudno przewidzieć, czy w tym roku grozi nam jaka klęska, i może dobroczynne nieba zrządzą, że wszystko skrupi się na Don Carlosie którego właśnie z końcem karnawału tak bolesna spotkała niespodzianka. Oto niewdzięczny naród hiszpański nie mogąc pogodzić się z myślą, by go Don Carlos uszczęśliwiał, wypędził panicza za Pireneje i kazał mu szukać schronienia na gościnnej ziemi angielskiej. Ztamtąd jak wieść niesie, bohaterski król przyjedzie do Krakowa, aby rewizytować Dra Ignacego Skrochowskiego, który tak cudownie opisał swoją wycieczkę do obozu Don Carlosa. Już to Bogiem a prawdą, szanowny redaktor *Przeglądu polskiego* dobrze zasłużył się ojczyźnie i literaturze naszej, wybierając się do Hiszpanji, i opisując potem swoją podróż na kartach *Przeglądu*. Bo czyż nie warto było poznać bohaterskiego monarchy, który tak uszczęśliwiał Hiszpanów, że aż kazał do nich strzelać śrutem i siekańcem[1]) — i czy nie byłoby stratą niepowetowaną dla literatury polskiej, gdyby arcydzieło tej podróży nie zostało unieśmiertelnione czernidłem drukarskiem! Już to p. Skrochowski należy do pierwszorzędnych stylistów naszych. Jaka u niego malowniczość, jaka loika, jaki dobór wyrazów, jakie zwroty mistrzowskie! Równą gwiazdę mieliśmy dotąd tylko na polu poezji polskiej, a jej nazwisko bardzo podobne do nazwiska dzisiejszego redaktora *Przeglądu polskiego*...

Nie słyszeliście państwo przypadkiem, czy p. Skorodracki nie napisał jakich nowych poezyj?

* * *

Od bardzo dawna toczy się spór między uczonymi, czy sztuka i nauka mają istnieć dla siebie, lub czy powinne mieć zawsze jakąś tendencję. Umysły niezawisłe twierdzą z całą słusznością, że ani sztuki ani nauki gwałtem do żadnych celów nie wolno naginać. Jeżeli tendencyjność postawimy za cel sztuce, to materjaliści każą spalić wszystkie Madonny, a ultramontanie pozwolą malować tylko sceny ze Św. Inkwizycji; — jeżeli znowu tę samą zasadę przyjmiemy w obec nauki, to dzieła współczesnych naturalistów zostaną zniszczone przez obóz przeciwny, a cała praca deistów zniknie gdy stronnictwo im nieprzyjazne przyjdzie do władzy. Ponieważ temat to zbyt obszerny, więc dłużej nie będę się nad nim rozwodził, poprzestając li na stwierdzeniu faktu arcy smutnego, że ustanowiona w Krakowie komisja konkursowa postanowiła odrzucać wszystkie utwory, których tendencja nie przypada jej do smaku, a że w łonie komisji zasiadają przeważnie

[1]) Patrz ostatni zeszyt *Przeglądu polskiego*.

ultramontanie, więc dramat każdy, choćby z innej strony najznakomitszy, jeżeli tylko nie schlebia obozowi wstecznemu, lub co stokroć gorsze, jeżeli ośmiela się rzucać mu rękawicę, zasługuje na bezwzględne potępienie. Przypomną sobie nasi czytelnicy, że w roku ubiegłym, komisja nie nagrodziła dramatu p. Okońskiego pt. *Niewinni*, ponieważ z jego tendencją nie mogła się pogodzić. W tym roku p. Okoński posłał nowy dramat, pt. *Ojciec Makary*, który przez komisję został odsądzony od wspólnego czytania, chociaż osoby mające zdrowy sąd estetyczny, a znające *Ojca Makarego* w manuskrypcie, przyznają, że jest to utwor nierównie znakomitszy aniżeli *Niewinni*. Ale p. O. idzie z biegiem cywilizacji i ma poglądy europejskie nie rzymsko-papieskie — a właśnie to nie podoba się krakowskim ultramontanom. Nie cierpiąc uczciwej tendencji, która wieje z *Ojca Makarego*, a lękając się zapewne by nienagrodzenie tego dramatu nie wywołało burzy, komisja znalazła drogę inną — oto odsądziła dramat od wspólnego czytania. Postępowanie godne adherentów ks. Goljana.

P. Okoński odczyta teraz *Ojca Makarego* publicznie w Krakowie na dochód tamtejszego Towarzystwa bratniej pomocy młodzieży akademickiej, poczem przywiezie go do Lwowa, gdzie z pewnością mierzyć go będziemy według istotnej jego wartości, a nie łokciem ultramontańskim, lub pozytywnym. My w sztuce szukamy przedewszystkiem piękna i prawdy, a gdzie jest prawda i piękno tam jest i dobro.

* * *

Kończąc dzisiejszą pogadankę, którą musieliśmy pisać mimo migreny i kataru, umieszczamy bardzo udatny wierszyk jednego z przyjaciół naszego pisma, p. Zdzisława, wystosowany do Marji B. a odpowiadający na jej wiersz dawniejszy, umieszczony w „Tygodniu" pt. „Zwątpienie."

Oto na czarnym ugorze łanów
Wyrasta
Nowy kwiat — w szacie boskich kapłanów...
Niewiasta!
Witaj nam, witaj! cieszym się lubą
Piosenką;
Stań się całego narodu chlubą
Panienko!
Serce twe młode, czarem osnute
Natchnienia,
Ach, poco w pieśni porusza nutę
Zwątpienia?
Wszak my jesteśmy teraz w mogile
Ofiary,
Wszak nam nie wolno odejść na chwilę
Od wiary.
A senność mamy odganiać z czoła —
Noc krótka...
Za chwilę może na bój zawoła
Pobudka!
Więc dajże siostro serca słowami
Tę radę:
„Duchy twych marzeń co gdzieś za mgłami
Drżą blade"
Na dnia widownię wyprowadź śmiało
Na słońce.
Niech oblatują ojczyznę całą
Jak gońce!
Niechaj wystąpią w potędze czaru
Z ukrycia —
Licom rumieńców, oczom daj żaru
I życia.
Niech grzmi, niech błyska melodją żywą
Twe słowo;
Wtedy się staniesz pieśni prawdziwą
Królową!

Józef Rogosz.

Z pola wielkich wynalazków.

Nowe obserwatorjum fizyczno-astronomiczne w Potsdamie.

W ostatnim numerze czasopisma astronomicznego Sirius spotykamy bardzo ciekawy artykuł o nowem obserwatorjum budującem się Potsdamie, z którego treścią mamy na celu zaznajomić czytelnika. Nowe obserwatorjum ma być wyłącznie astrofizyczne t. j. ma się zajmować tylko badaniem fizycznych własności ciał niebieskich. Badania tego rodzaju dopiero w ostatnich latach znalazły astronomów wyłącznie się temu poświęcających, i nic dziwnego, bo dawnemi środkami, dawnemi przyrządami nie daleko zajść było można. Za pomocą teleskopów można wprawdzie było poznać kształty niektórych ciał niebieskich, dojrzeć księżyce krążące około niektórych z nich, poznać plamy słoneczne, zbadać bliżej formę powierzchni najbliższego od nas ciała niebieskiego, księżyca ziemskiego, odróżnić na niem doliny, góry, kratery w górach itp., lecz wszystkie te odkrycia fizycznej natury miały oznaczoną granicę, po za którą wyjść nie mogły. Teleskopy bardzo prędko zrobiły co mogły; poznano fizycznie za ich pomocą trochę planet, mgławic lecz gwiazdy stałe w najsilniejszych nawet teleskopach wyglądały zawsze jak punkty świecące. Nic dziwnego, że mając tak ścieśnione granice, badacze nieba zajęli się więcej częścią matematyczno-mechaniczną astromji i na tem polu zrobili olbrzymie postępy. Każdy, kto się zagłębi w prace tego rodzaju, będzie się dziwił i uwielbiał pracę mozolną, która doprowadziła do tych rezultatów. Lecz przez wyłączne zajęcie się tą gałęzią, ucierpiała wiele astrofizyka. Dopiero w drugiej połowie naszego wieku, odkrycie przez Kirchhoffa i Bunsena rozbiorów widmowych, zwróciło na to pole badaczy. Uczeni ci dali w ręce ludzkości środek badania tak potężny, tak daleko sięgający, że przed nimi najśmielsza wyobraźnia o tem marzyć nie mogła. Dali środek badania chemicznego i fizycznego ciał najbardziej oddalonych, środek robienia rozbioru chemicznego gwiazdy, płynącej gdzieś w przestrzeni w odległości milionów, a może miliardów mil od nas, siedząc spokojnie w obserwatorjum.

Rozbiory widmowe polegają na tem, że każde ciało świecące, będące w pewnych warunkach fizycznych, daje widmo poprzerywane prążkami jasnemi, lub ciemnemi, które są różne dla różnych ciał i po których poznać można od jakiego ciała widmo pochodzi. Każde ciało daje pewne prążki, leżące zawsze w pewnych oznaczonych miejscach widma; zmierzywszy dokładnie w jakiemkolwiek widmie te prążki, oznaczywszy ich ilość i miejsce, można z pewnością powiedzieć od jakiego ciała pochodzi widmo przez nas badane. Odkrycie tych rozbiorów wskazało bezpośrednio drogę do odpowiedzi na pytanie, którego przedtem nikt nie śmiał zadać, z jakich ciał składa się słońce? Odpowiedzią na to było, że ciała płonące na słońcu są te same, z których się składa ziemia nasza. Znaleziono tam żelazo, magn, nikiel, kobalt, sód, wodór i inne ciała. Zbadano także za pomocą rozbiorów widmowych owe wyskoki, protuberancje, które w czasie zaćmienia słońca na brzegach widzieć można, i dowiedziano się, że się składają one po większej części z wodoru i są wybuchami tego gazu, wylatującemi na olbrzymie wysokości z atmosfery słonecznej. Znaleziono także ich związek z plamami słonecznemi. Badania słońca były naturalnie pierwszą rzeczą, do której się wszędzie rzucono. Lecz nietylko na tem polu wyświadczyły rozbiory widmowe ogromne usługi. Dobrano się i do gwiazd także i potrafiono w części zbadać ich naturę i skład chemiczny. Znaleziono gwiazdy, które się znajdują w stanie ogromnie silnego rozżarzenia, dające w widmie prawie tylko wodorowe prążki; te gwiazdy świecą białem światłem. Inne świecące żółto, posiadają niższą temperaturę, ich atmosfera składająca się z par metalicznych rozpalonych jest gęstszą i zimniejszą jak u gwiazd poprzednich. Inne znowu są tak ostudzone, że w ich atmosferze gazowej, powstawać już mogą połączenia chemiczne, co za pomocą rozbiorów widmowych poznać można.

Lecz nie tylko o tym fizycznym lecz i o chemicznym stanie niektórych gwiazd wiele się dowiedziano. Dowiedzioną została na niektórych gwiazdach obecność żelaza, sodu, wapniu, wodoru, a na Aldebaranie nawet rtęci. Te odkrycia pokazały nam, że jak najdalej w wszechświecie spotykamy te same ciała, które i na ziemi naszej znajdujemy, że tam — gdzieś, — około gwiazd, około słońc dalekich, krążyć mogą planety takie jak nasza ziemia, może nawet w bardzo podobnych warunkach... może na nich są organizmy żyjące... lecz zostawmy te rozmyślania astronomom i spojrzmy co jeszcze na tem polu zrobiono. O planetach nie wiele co nowego dowiedziano się, bo nie są to ciała rozpalone tak jak słońce i gwiazdy, lecz świecą tylko odbijanem światłem. Co do komet stwierdzono, że ich światło pochodzi od płonącego gazu, który jest prawdopodobnie węglowodorem. Mgławice, chmurki jasne na niebie były już oddawna przedmiotem ciekawych badań i niektóre z nich potrafiono rozłożyć na wielką ilość drobnych gwiazdek świecących, które uważano za gwiazdy stałe. Otóż za pomocą rozbiorów widmowych wykazano, że te mgławice, które za pomocą najsilniejszych teleskopów nie dają się rozłożyć na oddzielne gwiazdki, są masą gazów rozpaloną, a inne, w których potrafiono odróżnić oddzielne jasne punkciki, nie są to światy takie jak nasz słoneczny zupełnie stałe, lecz dopiero światy tworzące się, światy powstające z materji gazowej, obłoczka mglistego, z tak zwanej materji kosmicznej, powstające przez zgęszczenie się tej materji w kilka oddzielnych kłaczków, które powoli twardniejąc, staną się nowemi planetami, nareszcie zgęszczając się coraz bardziej przyjdą do stanu, w jakim się znajduje nasz księżyc, — będą ciałami bez gazów i bez wody, ciałami zupełnie wyschłemi i nie mającemi już śladu takich istot organicznych o jakich my mamy pojęcie.

Wszystko to cośmy dotąd powiedzieli, zawdzięczamy odkryciom Kirchhoffa i Bunsena. Nowe obserwatorjum będzie się głównie zajmowało tego rodzaju badaniami. Będzie miało na celu:

1. Najdokładniejsze badanie widmowe ciał i zjawisk niebieskich, połączone z badaniami ciał znajdujących się na ziemi.

2. Regularne statystyczne obserwacje słońca, sposobem zwykłym, lub też za pomocą fotografji, dla skonstatowania obracania się słońca około swej osi, perjodycznego powrotu plam słonecznych t. z. pochodni i ich związku z protuberancjami.

3. Najregularniejsze badania większych planet a mianowicie: zbadanie ich powierzchni i jej zmian, oznaczenie obrotu, średnicy, spłaszczenia u biegunów, a u tych planet które mają księżyce i ich masy; oprócz tego staranne rysunki i wymiary plam słonecznych, mgławic, komet, nie zważając jednakże wcale na oznaczenie ich miejsca w przestrzeni, ich drogi, lecz więcej zwracając uwagę na ich kształt, formę głowy i t. p.

4. Magnetyczne i meteorologiczne spostrzeżenia, wyszukanie bliższego związku plam słonecznych z zorzami i w ogóle ze zmianami meteorologicznemi na ziemi naszej.

5. Fizyczne spostrzeżenia, mające ścisły związek z astrofizyką n. p. oznaczanie prędkości światła, gęstości ziemi i t. p.

Zupełnie wyłączone są spostrzeżenia mające na celu oznaczanie miejsc gwiazdy lub oznaczanie czasu.

Spodziewamy się, że gdy dotąd astrofizyka kryła się w prywatnych obserwatorjach, dzisiaj mając środki przez rząd wyznaczone, będzie mogła nam wiele jeszcze powiedzieć o światach dalekich i rozszerzyć koło naszych wiadomości po za granice stawione jej przed niewielu laty.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Źródła dziejowe. Tom I. Krzysztofa Grzymułtowskiego wojewody poznańskiego. Listy i mowy Wydał A. Jabłonowski. Warszawa 1876.

O tej publikacji czytamy w Ateneum: Tom I „Źródeł dziejowych" ukazał się bez wstępnego słowa. Piszemy więc na tem miejscu przemówienie nasze, zamiast krytyki lub sprawozdania. Zbyteczną byłoby rzeczą powtarzać, co od dawien dawna, inni uczeńsi od nas wypowiedzieli mężowie: jak do zgłębienia dziejów naszych w całej rozległości niezbędnem jest wydobywanie na jaw wszelkich pomników, zabytków piśmiennych, zamkniętych w zbiorach publicznych lub prywatnych. Zachodzi w tej mieize najzupełniejsza zgoda. Swiadczą o tem

dzieje historjografji polskiej nietylko naszego stulecia, ale i poprzednich wieków. W ostatnich zwłaszcza latach tej nieodbitej potrzebie coraz żywiej czyni się zadość. Mrówcza praca się mnoży, zwiększają się szeregi skrzętnych zbieraczy, rośnie coraz więcej materjału dla mistrzów, którzy kiedyś z drobnych cegiełek wystawią gmach wspaniały wieków ubiegłych. Każde pokolenie nadchodzące, idąc torem poprzednich, garnie się do pracy, w miarę sił i możności uprawia i zasiewa tę niwę rozległą. Zdaje się nam, że i my dług, jaki na nas ciąży, spłacić winniśmy. W poczuciu tego obowiązku, składamy na poczet naszego długu pierwszy, niewielki, nieokazały tom „Źródeł Dziejowych.“ Nie poprzestaliśmy na samem tylko wydaniu Listów i Mów Krzysztofa Grzymułtowskiego; pragnąc żywsze nieco obudzić zajęcie w kołach czytelników, dla których historja ubiegłych wieków nie jest obojętną, zjednaliśmy sobie chętną pomoc pana A. Jabłonowskiego, który poprzedził obszerną monografją o Grzymułtowskim, także przez siebie przygotowany do druku zbiór Listów i Mów wojewody poznańskiego. Zapewne w prywatnych zbiorach znajdzie się jeszcze niejeden list Grzymułtowskiego, który przyczyni się do rozjaśnienia jego życia publicznego, choć wyznać musimy że nie szczędziliśmy starań, by zebrać zewsząd wiadomości o znajdującej się gdziekolwiekbądź korespondencji wojewody poznańskiego. Jeśli się ta kiedy ukaże, cieszyć nas będzie, że „Źródła Dziejowe“ utorują drogę. Drugi tom, którego druk się rozpoczął, zawierać będzie materjały do dziejów zjednoczenia Ormian w Polsce w XVII. w. z kościołem rzymsko-katolickim.

— **Wykopaliska Głębockie średniowiecznych monet polskich, objaśnił i opisał ks. Ignacy Polkowski. Gniezno, nakładem autera 1876.**

We wsi Głębockiej w Wielkopolsce wyorał w jesieni r. 1872 Maciej Krzyżaczek skarb numizmatyczny pod względem naukowym nieoceniony. Wyorany z ziemi skarb składał się z samych cieniuśkich srebrnych blaszek. W garnku glinianym mogło się mieścić około 3000 sztuk z których zaledwie połowa dostała się do rąk ks. Polkowskiego. Ks. Polkowski podzielił na takie, które mają napisy łacińskie „Mesico“, na drugie z napisami hebrajskiemi, wreszcie na beznapisowe, na monety Bolesławów i pomorskie. — Hebrajskie napisy naprowadzają ks. Polkowskiego na myśl, że były to pieniądze bite przez żydów. Dziełko całe napisane gruntownie, z wielką znajomością rzeczy rzuci nie małe światło na najciemniejszą epokę numizmatyki Piastów. Tekst opatrzył autor kilkuset podobiznami i siedm tablicami.

Nowości

podawane przez księgarnię SEYFARTA I CZAJKOWSKIEGO we Lwowie.

Zacharjasiewicz. — Na chlebie żony. Powieść w 8. Warszawa 1876. Zł. 2.

Lubowski E. — Rodzina Borgiów. Wrzszawa 1876 Zł. 1·25.

Pamiętniki Marcina Matuszewicza Kasztelana Brzesko-Litewskiego 1714—1765 wydał Adolf Pawiński w 8. Warszawa 1876 3ty z przedpłatą na 4ty. Zł. 8·50.

Pohlens E. — Leśnictwo praktyczne, Wykład zastosowany do potrzeb obywateli ziemskich z wieloma drzeworytami w tekscie oraz planami leśno gospodarskiemi i mapą kolorowaną w 8ce. Warszawa 1876. Zł. 3·35.

Chotkowski Wł. — Sieroty. Obrazek współczesny w 8ce. Poznań 1876. 60 ct.

Chorośnicki J. — Kolizje obowiązków. Powieść. Kraków 1876. Zł. 1·50.

Smętosz Ks. J. — Siedm kazań o Męce Pana naszego Jezusa Chrystusa w 8ce. Gniezno 1876. 60 ct.

Béranger. — Piosnki wolno przełożył Rodoć, w 8ce. Kraków 1876. 85 ct.

Irlandja i Polska w 8ce. Kraków 1876. Zł. 1·50.

Lehrbuch de Eisenbahn.— Transportdienstes für Aspiranten und Beamte dès Eisenbahn-Betriebsdienstes, so wie für Speditions und Handelshäuser verfasst v. K. Engelhard und Johann Chlupp L. 1. 8. Wien 1876. 50 kr.

Ritschmann H. — Der polnische Parnass. Ausgewählte Dichtungen der Polen übersetzt nebst einem Abriss der polnischen Literaturgeschichte und biographischen Nachrichten. Vierte vermehrte Auflage in 8. Leipzig 1875. fl. 3·60.

Jireczek C. von. — Geschichte der Bulgaren in 8. Prag 1876. fl. 4.

L' année scientifique et industrielle au exposé annuel des travaux scientifiques, des inventions et des principales applications de la science accompagné d'une Nécrologie scientifique par Louis Figuier in 8. Paris 1876 Zł. 2·10.

Kristien Ostrowski. — Oeuvres choisies. Le théatre, les livres d'exil, les légendes du sud, les lettres slaves in 8 gr. Paris 1875. Zł. 6.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— W poprzednim numerze, p. Wł. Bełza doniósł w swojem wspomnieniu o śp. Sewerynie Goszczyńskim, że zostało po nim nie mało rękopisów, które znajdują się teraz w posiadaniu przyjaciół zmarłego wieszcza. Z wielu stron zapytują nas osoby, które nie są obojętne dla wielkiej spuścizny naszego poety, kto właściwie zajmuje się porządkowaniem manuskryptów i czy wszystko odbywa się pod należytą kontrolą. Chociaż wiemy, że ci z przyjaciół śp. Goszczyńskiego, którzy mają jego rękopisy należą do ludzi prawych, mimo to sądzimy, że byłoby właściwiej, gdyby utworzył się osobny komitet, złożony z osób w literaturze wybitniejsze zajmujących stanowiska, i ten odpowiadał potem za swoje czyny przed całym narodem. Przy tej sposobności donosimy także, że nazajutrz po pogrzebie Goszczyńskiego redaktor naszego pisma zgłosił się do kogo wypadało z propozycją wydania wszystkich dzieł zmarłego poety, przeznaczając cały czysty dochód bądź na pomnik, bądź na fundusz stypendyjny imienia Goszczyńskiego. Równocześnie niektóre księgarnie lwowskie ofiarowały się wydać pisma G. rozbierając je między siebie i płacąc z góry honorarjum za pojedyncze dzieła. Jeżeli drugi ten projekt wydaje się na oko korzystniejszym, ponieważ z góry zapewnia czysty dochod, to pierwszy jest praktyczniejszym z dwóch mianowicie powodów. Najpierw dzieła wydane przez jednego nakładcę wyjdą nierównie prędzej i w jednolitej edycji, następnie czysty dochód może znacznie przekroczyć kwotę, jaką księgarze mogliby w najlepszym nawet razie ofiarować. Nie upierając się atoli przy naszem projekcie, bo chętnie zeń zrezygnujemy, gdy tego będzie wymagało dobro sprawy — zwracamy tylko uwagę przyjaciół poety, aby wydaniem pism zajęli się jak najprędzej — bo każdy dzień stracony utrudnia wydawnictwo. Dziś nie piszemy więcej, lecz w razie potrzeby wytłumaczymy się jaśniej.

— W ubiegłym tygodniu widzieliśmy w teatrze lwowskim „Makbeta“, którego p. Ładnowski wybrał na swój benefis. Ulubionego benefisanta publiczność przyjmowała bardzo sympatycznie, rzucając mu wieńce i bukiety, chociaż—chociaż wielka ta rola przechodzi siły p. Ładnowskiego. Makbet jest mniej nerwowym, a nierówrie więcej spiżowym, mimo zawisłości swojej od kobiety na początku dramatu. W każdym jednak razie p. Ł. nie zepsuł roli, a i to coś znaczy, jeżeli się zważy trudności, które mial pokonać. O innych artystach wolimy zamilczeć.— W operze występowała także w ubiegłym tygodniu, panna Bianca Donadio, sopranistka, którą zaangażowała do Warszawy tamtejsza Opera włoska na występy gościnne. Śpiewaczka to bezprzecznie znakomita i bardzo sympatyczna. Szczegółowe sprawozdanie z jej występów, jak w ogóle z całego ruchu muzycznego z ubiegłych tygodni, pozostawiamy naszemu specjalnemu recenzentowi.

— W ostatnim zeszycie *Przeglądu polskiego* ukończył się nareszcie opis wycieczki Dra Ignacego Skrochowskiego do obozu Don Carlosa. Pomijając smutną tendencję, nad którą w tem miejscu nie chcemy się bliżej zastanawiać, poprzestaniemy dziś na uwadze, że rzeczy gorzej pod każdym względem napisanej od bardzo dawna nie zdarzyło nam się czytać. Gdyby to był napisał jaki student, pół biedy jeszcze, ale doktor filozofji, to dość smutno. Dziwi nas także, że *Przegląd polski*, którego artykuły są zawsze poprawne, umieścił taką ramotę. Ale prawda, dr. Ignacy Skrochowski jest redaktorem *Przeglądu!*

— Dr. Juljan Ochorowicz, który habilitował się na Uniwersytecie lwowskim, od dłuższego już czasu bawi w Warszawie, gdzie miewa publiczne odczyty. Pierwszy wykład „O wrażeniach zmysłowych“ miał w Resursie obywatelskiej, a ostatnim był jego odczyt dla rzemieślników „O oku i jego składzie.“

— Pan Aspis, autor „Sulamity“ utworu, o którym pisaliśmy w pierwszych numerach „Tygodnia,“ oraz innych prac poetycznych, wykończa obecnie dwa dramaty, których tematy przedstawiają wiele interesu. Jeden z nich nosi tytuł „Atylla“, a drugi „Kleopatra.“

— Na wystawie filadelfijskiej między innemi znajdować się będzie płaskorzeźbowy plan miasta Meksyku ogromnych rozmiarów, bo mający 20 metrów od południa na północ, a 14 metrów w kierunku od zachodu na wschód. Na planie miasto całe jest oddane z matematyczną ścisłością. Budynki są skopiowane z największą skrupulatnością, z zachowaniem nawet właściwych im barw, z szyldami i wystawami sklepów. Po ulicach i placach rozrzuconych będzie kilka tysięcy osobnych figurek w strojach krajowych, tak, że całość stanowić będzie najwierniejszą kopję miasta. Miniaturową tę robotę dokonywa pewien francuski rzeźbiarz z polecenia gubernatora Meksyku.

— Obraz Makarta „Kleopatra“, kupiono za 25.000 marek, (15.000 zł.) Przypomną sobie czytelnicy, co donosiliśmy swojego czasu, że obraz Meissonier'a przedstawiający szarżę kawalerji francuskiej z wojen Napoleońskich, nabył Amerykanin Stewart za 300.000 franków. Porównując te ceny, a reflektując zarazem na okoliczność, że taki temat jak Kleopatra bez porównania wdzięczniejszy i bogatszy dla artysty, niżeli szarża konnicy, możemy mieć jeno współczucie dla wielkiego (!) genjuszu Germanji, który niestety na każdym kroku ustępuje przed genjuszem niby zrujnowanej Francji.

— Zbiór cennych malowideł mistrzów hollandzkich i flamandzkich z 17 wieku przedtem własność p. Lippmanna we Wiedniu, będzie d. 16 bm. w Paryżu w hotelu Drouot na licytację wystawiony. Zbiór składa się z 53 wyborowych płócien, piorwszo i drugorzędnych malarzy n. p.: Backhuysen'a, Berhem'a, Breughel'a, Brouwer'a, Camphuysen'a, Cuyp'a, B. van der Helst'a, Dirk Hals'a, Adriana i Izaaka van Ostade, Rembrandta, J. Ruysdael'a, Jan Steena, Teniers'a, Wouvermans'a itd.

Odkrycia.

— „Atenemu“ londyńskie donosi, iż na wyspach Azorskich odkryto temi czasy manuskrypt nader cenny z r. 1570. Autor jego Francisco de Souza, zdaje sprawę o osadnikach północnej Ameryki (Terra Nova do Bacalhao, czyli Neufundlandji), ktńrzy mieli być wychodźcami z Oporto, Aveiro i wyspy Terceira.

— We wsi Wellen (na północno-zachodniej stronie Saarburga, naprzeciw luksemburgskiej miejscowości Grevenmacher) odkryto niedawno bardzo ciekawe starożytności rzymskie. Podczas robót ziemnych przy budowie kolei Trier-Diedenhofen, natrafiono w jednym z ogrodów wspomnianej na początku miejscowości na rzymskie mury. Po dalszem rozkopaniu wyszła na jaw doskonale zachowana piwnica rzymskich łazienek. Te łazienki były prawdopodobnie częścią willi rzymskiej z 3 lub 4 wieku, która, wnioskując ze znalezionych szczątków, słupów, fryz, relieców i mozaiki, musiała być bogato urządzoną. Oprócz tego znaleziono wielką ilość rzymskich monet, pierścieni, etc.

— W Rhamses, w Egipcie, wykopano dwa wspaniałe sfinksy z napisami. Poszukiwania dalsze idą bardzo skrzętnie. Niemniej pilnie i z pomyślnym skutkiem prowadzą poszukiwania w Olimpji. Ostatniemi czasami znaleziono fragmenty z wielkiej statuy bronzowej. To ostatnie odkrycie wzbogaca filologów ogromną ilością ciekawych i doskonale zachowanych napisów.

Szkolnictwo.

— Dr. August Sokołowski otrzymał na Uniwersytecie Jagiellońskim docenturę historji austrjackiej.

ROZMAITOŚCI.

— Oto kilka słów o kobietach u Greków i Rzymian. Stanowisko kobiety w rodzinie u starych Hellenów było bez porównania korzystniejsze, niżeli u współ-

czesnych im innych narodów. Od najdawniejszych czasów czczono u nich świętość związku małżeńskiego, a karano srodze najmniejsze jego uchybienie. Dalecy od tego, by żony swoje uważać za niewolnice i sługi, szanowali je jako rozumne gospodynie domu, i miłości pełne karmicielki dziatwy; w ich obronie chętnie ofiarowali zawsze krew swą i życie. W tej myśli Homer zwykł nazywać je „czcigodnemi,“ a jego Achilles mianuje mężczyznę mądrym i dobrym który „żonę swą kocha i ma o nią pieczę troskliwą.“ Niezadowoleniu i goryczom pożycia wspólnego zapobiegano zawczasu przez hojne ofiary składane bóstwom opiekuńczym, a głęboka sympatja, ugruntowana na wzajemnym szacunku, była trwałą podwaliną domowej zgody. Znacznie później, gdy Lykurg nieroztropnie ukrócił prawa kobiet, a co gorzej wydał kilka, demoralizujących je nawet w tej mierze, cześć dla związków małżeńskich poczęła znikać stopniowo, miejsce zaś obyczajnej skromności dawnej zajmowała niebezpieczna kokieterja w ubiorach i obejściu towarzyskiem. Pierwej zakrywając oblicza gęstemi zasłonami, żadna nie wyszła na ulicę bez towarzystwa kilku służebnych; teraz zadowalano się, byle jeno ze spuszczonemi w dół oczyma, i poważnym krokiem mijała spotykanych przechodniów. Z wzrastającą swobodą wszczął się upadek obyczajów. Imiona „Fryny“ i „Azpazji“ powtarzano z zachwytem na całym półwyspie, a poeci i artyści unieśmiertelniali podobne kapłanki bogini piękności. Najświętsze węzły rodzinne, czyste obyczaje i cnoty skromne, bladły i znikały pod zatrutym powiewem zbliżającej się rozpusty, która za czasów Peryklesa ogarnęła wszystkie warstwy społeczeństwa. Oczywiście, że takim zpaczonym pojęciom o życiu cnotliwem i obyczajnem, odpowiadało zupełnie stanowisko kobiety w rodzinie. Po zamążpójściu była ona skazaną jedynie na obracanie się w obszernych komnatach swego domu. W samotnem gyneceum musiała pędzić jednostajne życie śród zajęć mechanicznych, i przypatrywać się w milczeniu, jak piękny małżonek trawił dnie wesołe w towarzystwie sławnej jakiej hetairy. Niewolnicze spełnianie obowiązków, poczytywano jej za cnotę najwyższą. Najwolnomyślniejsi filozofowie hołdowali tym niesprawiedliwym wielce i małodusznym zapatrywaniom, i taki np. Platon sam radził, by kobietę o tyle surowiej kiełznać, im więcej niedołężną jest i słabą. Wzniosłe cnoty Penelopy albo Nausikai, żyły wyłącznie w tradycji. Nawet poeci tych czasów podzielali ogólną niechęć ku płci pięknej. Euripides, odtwarzający znakomicie charaktery współczesne, nienawidził kobiety zapamiętale, i twierdził że „jeden mężczyzna więcej wart, niżeli dziesięć tysięcy kobiet.“ Nie dziwna zatem, że z łona takich pojęć o kobiecie, wyrodziła się później tak zwana nienawiść kobiet, której wyznawcy i obrońcy najgoręcsi należeli do najoryginalniejszych postaci klasycznego świata. Z oburzeniem patrzyli na rozszerzoną ogólnie zgniliznę obyczajów, słowem i czynem walczyli przeciw niemoralności mężczyzn, i powoli popadali w nieuleczalną słabość, której początkiem bywa zwykle melancholja albo miłość zawiedziona. Od kolebki aż do grobu była grecka kobieta małoletnią, i nie miała prawa ani do spadku ani do innych korzyści. Ojciec lub najbliżsi krewni rozporządzali dowolnie jej własnością. Przy zamążpójściu otrzymywała posag, który wraz z nią stawał się odtąd własnością męża. Odtąd niewolno jej było wyjść, jeno w towarzystwie niewolnic; sama była tylko rzeczywistym więźniem męża, który mógł ją zamknąć, tyranizować, nawet zamordować bezkarnie. Wolności i poszanowania zażywały jedynie kapłanki i hetairy. Ostatniemi były zwykle kobiety, które wydarłszy się na publiczną arenę z ciasnego kąta domowego, brały udział w hucznych ucztach na równi z mężczyznami i za to otrzymały przezwisko „hetaira“ czyli przyjaciółka. Były to zazwyczaj niewolnice, obdarzone czarującą powierzchownością, które przyswoiwszy sobie pewien stopień wykształcenia umysłowego, umiały muzyką i żywym dowcipem pętać i u stóp swoich trzymać liczne grono wielbicieli. W taki sposób stała się np: Azpazia kochanką Peryklesa, który obłędem namiętnym zawładnięty, odpędził dla niej nawet żonę własną. Także u Rzymian starych stanowisko kobiety było początkowo wybitne i poważne. Atoli i rzymskiej kobiecie brak było spokoju łagodnego, kiełkującego jedynie wśród cichego a czynnego życia rodzinnego. Jej cnoty, ani na wskróś moralne ani ogólne, wypływały raczej z szczególnego systemu religji i pierwotnego ograniczenia surowego. Skutkiem tego, nie miały one trwałości w sobie i z biegiem czasu znikały powoli. Jakkolwiek żona była w całem słowa znaczeniu poddaną męża, miała jednak prawo żądać niepodzielnej jego miłości; gdy zaś sama zkalała się zbrodnią, wolno było mężczyźnie zabić ją lub ułaskawić. Jeden z prastarych przywilejów uwalniał je od przędzenia i tkania. Na ulicy, każdy obowiązany był ustępować z drogi kobiecie, a ktoby ciężko obraził matronę, stawał się kary śmierci winnym. Na pogrzebach mogły wykształcone kobiety przemawiać publicznie; jedynie kobiecie wolno było używać wozów do przejażdżki. Dopiero od zburzenia Kartaginy datuje się rzeczywisty upadek obyczajów rzymskich. Miejsce cnót starych zajęła teraz bezprzykładna rozwiązłość obyczajów, z czego później powstały owe „bachanalje“ sławne. Bachanalje wzięły początek w Kampanji. Członkowie tej niby sekty wyznawców Bachusa, zbierali się zwykle nocą na miejscach odległych, gdzie pili i praktykowali najobydniejszą rozpustę, aż promienie słońca porannego stawiały tamę sprośnym zabawom, rozpędzając uczestników. Z razu miały wstęp do takiego klubu Bachusa tylko kobiety, później przyjmowano i mężczyzn. Uroczysta przysięga milczenia wiązała język każdemu członkowi. Przez długie czasy ukrywały się przed okiem władzy, te szalony wybryki, aż je odkryto przypadkowo skutkiem otwartości jednego młodzieniaszka. Surowe śledztwo powyciągało na jaw straszne rzeczy. Około siedmiu tysięcy uczestników między nimi najwięcej kobiet, uległo srogiej karze. Gdy surowy Kato zaproponował raz prawo przeciw strojeniu się i zbytkowaniu kobiet, zagrożone Rzymianki zebrały się tłumnie i formalnie obległy kapitol, a nie ustąpiły pierwej, aż senat przerażony odrzucił wniosek Katona. Niejednokrotnie uskarżał się później ten mąż cnót wielkich, że z wszystkich swoich błędów najbardziej żałuje tego, iż „kiedykolwiek uwierzył i zaufał był jakiej kobiecie.“ Za czasów Augusta zepsucie obyczajów doszło było zenitu. Podczas gdy pod pierwszymi konsulami rozwód karano śmiercią, obecnie był takowy na porządku dziennym. Owid powiada: iż zawierano małżeństwa w tym celu, by je rozwiązać jak najrychlej. Jeśli np. mąż ujrzał żonę wychodzącą bez okrycia głowy, rozmawiającą z obcym mężczyzną, albo przypatrującą się jakiej zabawie publicznej, natychmiast dawał jej wieczystą dymisję. Nawet tacy jak Cezar i Oktawian rozłączali się z żonami bez najmniejszej przyczyny, a Marcus Kato nie namyślał się wcale, gdy na usilne prośby przyjaciela odstępował mu żonę własną. Po śmieci tego przyjaciela, napowrót poślubił wdowę. Chciał kto otrzymać urząd lub godność jaką, posełał żonę, a zawsze osiągnął skutek pomyślny. Kobiety rachowały lata swoje liczbą małżeństw, a każda poczytywała by sobie za wstyd, gdyby miała była jeno dwóch mężów. Naturalnem następstwem takich stosunków była niechęć ogólna do zawierania małżeństw. Napróżno usiłował Cezar przewidując smutne rezultaty wskrzesić dawny pietyzm dla związków matrymonialnych, nadaremnie przyrzekał żonatym różne przywileje w przyszłości; zło było zbyt głęboko i szeroko wkorzenione, by je wykarczowały zabiegi jednego człowieka, choćby nawet wszechwładnego Cezara.

— Podczas wojny elektora brandeburgskiego ze Szwedami, zdarzyło się, iż razu pewnego z obozu elektora uciekli dwaj żołnierze, bracia rodzeni, którzy przedtem we wszystkich bitwach złożyli byli dowody waleczności i męstwa. W kilkanaście dni zchwycono ich w pobliżu obozu, i stosownie do prawa wojennego skazano obudwu na śmierć przez rozstrzelanie. Zanim spełniono wyrok, chciał elektor widzieć skazańców i w tym celu sprowadzono obudwu do jego namiotu. Gdy zapytał ich o powód dezercji, odpowiedział starszy głosem stanowczym. „Nasza matka staruszka, mieszkała ztąd o kilka mil. Będąc na łożu śmiertelnem przysłała do nas gońca z oznajmieniem, byśmy zaraz przybywali jeżeli chcemy ją ujrzeć jeszcze przed śmiercią. Prosiliśmy kapitana o urlop krótki, ale napróżno, bo spodziewano się lada chwila bitwy z nieprzyjacielem. Więc wymknęliśmy się potajemnie z obozu, zabawiliśmy przy matce aż do jej skonu, zamknęliśmy jej oczy i po pogrzebie powróciliśmy z zamiarem stawienia się do pułku naszego i opowiedzenia wszystkiego, Atoli koło obozu pojmano nas i osądzono jako dezerterów.“ Elektor namyślał się chwilę, poczem rzekł z surową powagą: „Wykroczyliście ciężko przeciw dyscyplinie wojskowej. Dla przykładu wyrok wykonany być musi, gdyż w szeregach wojska coraz częściej trafia się dezercja haniebna. Ze względu jednak na wyjątkowe okoliczności chcę jednego z was ułaskawić! Drugi zaś musi umrzeć...“ Teraz powstał spór między braćmi. Każdy z nich chciał ofiarować się za drugiego a żadną miarą zgodzić się nie mogli, który ma zostać przy życiu. Widząc to zawołał elektor: „Przynieście kostki, niech los rozstrzyga. Który wyrzuci mniejszą liczbę punktów, umrze...“ Przyniesiono kubek z kostkami. Młodszy wyrzucił pierwszy i miał 12 punktów. Starszy, widząc już straszny los swój zdecydowanym, pochwycił ze stoicznym spokojem kubek i wywrócił go. I oto stał się cud prawdziwy. „Trzynaście! — zawołał elektor zdziwiony i osłupiały. — Ha, to widoczne zrządzenie Boga! Ułaskawiam obudwu, idźcie wolni!“ Jedna z kostek rozłupała się dziwnym sposobem na dwie połowy i skutkiem tego oprócz zwykłych dwu szóstek przybyła jeszcze jak wraz jedynastka. Obydwie kostki przechowano na pamiątkę tego zdarzenia cudownego w skarbcu w Berlinie.

— Pogromca lwów. Bidel w Hawrze, przebył ostatniemi czasy ze swojemi dzikiemi elewami zdarzenie, które mogło było pociągnąć dlań bardzo groźne następstwa. Zwyczajem jego było, iż udając się do klatki lwów, brał z sobą żywą owcę. Ta, skutkiem jego obecności, wychodziła zawsze cało i nienaruszenie z śmiałej próby z krwiożerczością dzikich zwierząt. Pewnego razu wszedł Bidel. jak zwykle do klatki, i przyniesioną owcę położył na grzbiecie lwicy. Zaledwie to uczynił, jeden z lwów przyskoczył z kąta klatki w mgnieniu oka do owcy i zatopił zęby i pazury w grzbiecie biednego zwierzęcia. Tłumy publiczności przypatrujące się temu, jak domyśleć się łatwo, w pierwszej chwili zadrżały ze strachu i przerażenia. Bidel jednak nie stracił niezbędnej przytomności i krwi zimnej. Postąpił krok naprzód i uderzył żelaznym prętem lwa tak silnie w głowę, że ten skurczył się, puścił ze szponów skrwawioną ofiarę, i rycząc z bolu chyłkiem odszedł w kąt klatki. Atoli po chwili reszta dzikich bestyj obecnych, rozdrażniona zapachem świeżej krwi poskoczyła razem naprzód, żywiąc widocznie groźne dla pogromcy zamiary. Przerażenie widzów wzrosło teraz do najwyższego stopnia. Nikt nie wierzył, by się Bidel wyratował z tych strasznych opałów. On jednak i tym razem nie stracił równowagi umysłu; opędzając się prętem żelaznym trzymał rozjuszone zwierzęta w należytem od siebie oddaleniu, aż w końcu poskromił zbuntowanego lwa, motora całej rewolucji i zapędził go do jego klatki. Następnie zabrał pokaleczoną owcę i wśród grzmiących oklasków uradowanej publiczności utorował sobie szczęśliwie drogę prętem pomiędzy pozostałemi rozżartemi bestjami, aż do wychodu z klatki. Dzielny pogromca wyszedł tym razem cało z gorącej przeprawy, biedna zaś owca zginęła niebawem z ran otrzymanych.

Odpowiedzi Redakcji.

M. G. w Kolbuszowie. Prosimy sobie wybrać, a zaraz wyszlemy.

M. K. poczta Dawidkowce. Przysłany nam poemat nie może być drukowany. Można go odebrać w naszej redakcji.

Z. K. C. w Jaśle. Zakład introligatorski Tillingera we Lwowie robi bardzo ładne okładki na tomy „Tygodnia,“ dzieł Jeża, Pola i Dzierzkowskiego.

Szanowny „Djabeł“ w Krakowie. Do tej chwili nie odebraliśmy ani jednego numeru.

A. St. w Rzeszowie. Encyklopedja Orgelbranda jest lepsza; kosztuje tylko 3 złr. 75 cnt. Encyklopedja Ungra kosztuje 5 złr. a Wiślickiego w 3 tomach 15 złr.

Treść Nr. 11.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).